№ 28. Warszawa, dnia 9 Lipca (27 Czerwca) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KTO WINIEN.

Na trzech jednocześnie punktach zapaliły się w Europie ognie walki plemienno-społecznej, które wystrzeliły po nad zwyczajną miarę tego rodzaju wybuchów, mianowicie: w Rosyi, we Francyi i Czechach. Pierwsze starcie — ludu rosyjskiego z żydami — było najostrzejsze, drugie — francuzów z włochami — najsłabsze, trzecie, którem obecnie zająć się mamy, chociaż jeszcze niestłumione, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zbyt szeroko płomieni swoich nie rozpostrze.

Czesi — studenci i robotnicy — pobili niemców; taka jest krótka historya awantury. Jeżeli uprzytomnimy sobie zasadnicze rysy charakteru czeskiego i jego świeże stosunki z domem panującym; jeśli zważymy, że dotąd narodowość swą ratowali środkami spokojnego i prawnego oporu, nie zaś gwałtownością i siłą, to ów wybuch przedstawi nam się poniekąd zagadkowym. Czuje to każdy, że w wojowniczem wystąpieniu czechów jest coś niespodziewanego, nienaturalnego. Należy ono do tych wypadków, przy których wieśniak prostaczek się żegna zdumiony, a polityk jeden z swych rachunków przekreśla. Każdego zaskakuje pytanie: co czechów sprowadziło z dotychczasowej drogi?

Pytanie to nasuwa myśl tajemnego podpalenia — i to podpalenia ręką niemiecką. Jak w każdem zamięszaniu, podobnie i w tem trudno jest odrazu wyśledzić tę pierwszą iskrę, która spowodowała pożar; i dlatego dotąd ma swoją racyę przypuszczenie, że skrzesali ją niemcy. Tracąc coraz bardziej grunt w Czechach, przerażeni ciągłem wydobywaniem się tego narodu na wierzch, mogli oni zręcznie popsianą burzą chcieć przeciąć proces jego wyzwalania się. Oddawna już prasa niemiecka zawistnem okiem spoglądała na każde przez czechów odzyskane prawo, na każdy łaskawszy dla nich uśmiech panującej dynastyi. Nie starło się nam jeszcze z pamięci wspomnienie zażartej walki o fundacyę narodowego uniwersytetu, który był może najbliższą pobudką do obecnej awantury. Udział więc w niej rąk niemieckich leży w zakresie prawdopodobieństwa, tem bardziej, że zarówno one są do tego zdolne, jak i sposób odnoszenia korzyści z otrzymanych niby niewinnie guzów w polityce wypróbowany. Znana historycznie obłuda rasy germańskiej wobec słowian wypisała tej rasie takie świadectwo moralne, że ono zawsze ściąga na nią podejrzenie nawet wtedy, gdy występuje jako skarżąca. Narody, jak ludzie, mają swoje opinie, które padają zawsze na szalę wydawanych o nich wyroków. Nikt zaś chyba nie zaprzeczy, że opinia niemców w stosunku do ludów pochłoniętych, a przedewszystkiem do słowian nie cieszy się chyba szczególnem uznaniem. Jeżeli Prusy mogły zdruzgotać Francyę, stawszy się niby ofiarą jej napadu; jeżeli mogły i umiały przygotować sobie tak wielką zaczepkę, to dlaczegóżby ich współplemieńcy nie mogli i nie umieli urządzić sobie w Pradze maleńkiej komedyi, której krwawe rozwiązanie pozbawiłoby czechów świeżych nabytków polityczno-społecznych? Byłby to zresztą najpewniejszy sposób rozbrojenia nieprzyjaciela, gdyż — jak rzekliśmy — sposób bicia i krzyczenia, że się jest bitym, niejednokrotnie okazał już swą skuteczność. To też obecne krzyki prasy niemieckiej wydają nam się jak gdyby umyślnie zgóry przygotowaną serenadą, której wszystkie nuty są oddawna znane.

Jeżeli tylko śledziliście, czytelnicy, za biegiem polityki, zwłaszcza w łożysku austryackiem, możecie samą domyślnością odgadnąć słowa skargi „pobitych" niemców. Biedni oni są upośledzeni kosztem ludów samorządem obdarzonych, we „własnym" domu grają rolę kopciuszków i doznają poniewierki; rozzuchwaleni pieszczotami rządu czesi bezkarnie rozbijają głowy cywilizatorów—oto myśl głównych zwrotek obecnej piosenki, zakończonej westchnieniem w stronę księcia Bismarcka, który sam jeden tylko umie otaczać swoje plemię opiekuńczem skrzydłem. Naturalnie rozpłakani trubadurowie nie mieliby nic przeciwko temu, gdyby żelazny książe oswobodził nieszczęśliwą Austryę od słowiańskich smoków i przycisnął do swego łona, zgniótłszy zarazem owe jadowite gadziny metodą w Poznańskiem dostatecznie wypróbowaną. Dziś już żale i gniewy niemieckie płyną bardzo obfitym potokiem; bądźmy jednak przygotowani, że natchnienia w tym kierunku nie zbraknie, zwłaszcza gdy bijatyki na ulicach Pragi szybko nie ustaną. Wystarczą one w zupełności do tego, ażeby grabarze niemieccy wykopali głęboki dół dla czechów, jako narodu barbarzyńskiego, niezdolnego do samorządu, do cywilizacyi, do życia, zasługującego jedynie na szybki pogrzeb dla bezpieczeństwa kultury germańskiej, która zaraziła się jego wyziewami a na jego mogile mogłaby sadzić wyborne, własnej uprawy kartofle.

Chociaż cały wywód ten wynika logicznie z usposobień, zasad i dotychczasowych czynów szczepu niemieckiego, porzućmy jednak grunt przypuszczenia i przesuńmy całą winę obecnego zamięszania na czechów — kto jednak pozostanie właściwym jego sprawcą? Kto w duszy tego burzącego się ludu złożył materyały wybuchowe? Kto przygotował ten zapas gniewu, oburzenia, nienawiści? Przecież

to nie obdarowani napastują dobroczyńców, ale uciśnieni wrogów. Musielibyśmy naprzód dziwić się psu, że czasem ukąsi rękę, która go tylko bije, gdybyśmy chcieli się dziwić narodowi, że czasem skaleczy swych krzywdzicieli. Czy zaś niemcy, pytamy o to ich własnego sumienia, nie krzywdzą czechów? Czy ich nie wydziczają z praw, nie wypierają z ziemi, nie gnębią wszystkimi środkami upośledzenia? Czy dają im miłość i sprawiedliwość, a odbierają gwałt i nienawiść? Zaiste dziwne żądanie, ażeby z posiewu trucizn wyrastały słodycze; dziwna bezczelność „rasy zwycięskiej,“ ażeby deptana przez nią nie pomściła ucisku nawet nierozwagą. Tak, nierozwagą, gdyż najszaleńszemu czynowi nie możemy odmówić jego... przyczyn. Bezwątpienia, czesi rozpoczynając lub tylko przyjmując walkę ze swymi panami, robią źle, bo jako skazani zgóry na porażkę szkodzą sobie, pozbawiają się nabytków legalnego ratotowania swego bytu, dopuszczają się samobójstwa. Ale czy osądziwszy ich wybuch miarą użyteczności, nie powinniśmy moralną za niego odpowiedzialność złożyć na niemców? Kto ich ubezwłasnowolnił, ten musi być poczytalnym za ich działania. Naród wychowany w nienawiści do swych przewodników, nie może jej nie objawiać, zwłaszcza w tych sferach, gdzie rozum nie panuje nad uczuciami. A chociażbyśmy najsurowiej potępili bijatyki uliczne, czy cała ich suma nawet w przybliżeniu zrównoważy ilość krzywd, których czesi doznali i doznają? Czemże jest wiekowa niedola wobec kilkudziesięciu guzów, przez obie strony wzajemnie sobie udzielonych? Na nieszczęście, przy sądzeniu tego rodzaju wypadków zamyka się historya aż po dzień wczorajszy i bierze się teraźniejszość w zupełnem oderwaniu. Tymczasem w każdej zaciśniętej pięści czeskiej nietrudno byłoby znaleźć kamień Białej Góry...

Bez echa uczciwego więc przebrzmią wszystkie dzwony prasy niemieckiej, jęczące na gwałt i dopominające się zemsty. Milczały one, gdy w Prusach prześladowano żydów, chociaż ci zjednoczyli się z ludnością miejscową, milczą zawsze, ile razy gdziekolwiek odezwie się szczera skarga. Na pytanie: *kto winien* zamieszek w Pradze, nie ma dwu odpowiedzi dla tych, dla których niema dwu miar, dwu sprawiedliwości. Niechaj niemcy spłacą naprzód wszystkie długi względem czechów, niech dopełnią wszystkich obowiązków, niech przestaną karczować ich ziemię dla obsiania jej swoją kulturą, niech przywrócą wszystkie prawa narodowości czeskiej, a wtedy dopiero mogą upomnieć się o poszanowanie własnych. Zapewnie, jeżeli całą walkę zamkniemy w kole interesów jednostkowych; jeżeli obecne starcie rozpatrywać będziemy ze stanowiska strat tego lub owego niemca, który został niewinnie poturbowany w Pradze, musimy go żałować; ale jeżeli ogarniemy cały proces boju dwu żywiołów i stracimy z oczu zapasy jednostkowe, wtedy całą naszą sympatyę, całe nasze miłosierdzie przelejemy na inną stronę. O każdym pobitym niemcu gazety uwiadamiają świat telegrafem; a o iluż zmiazdżonych czechach nawet miejscowa władza wiedzieć nie chciała! Zdźbłem jest awantura uliczna wobec olbrzymich belek, tkwiących w oku niemieckiem...

REFORMA KODEKSU KARNEGO.

Jak wiadomo już czytelnikom *Prawdy*, osobna komisya zajęła się rozpatrzeniem i wprowadzeniem zmian do kodeksu karnego, który w wielu artykułach okazuje się dziś tak surowym, że jego zasady w żaden sposób nie dadzą się pogodzić z podstawami cywilizacyi i prawami najumiarkowańszej swobody. Przestarzeniu uległy nadewszystko przepisy w tak zwanych wykroczeniach religijnych, które też mają być gruntownie zmienione. Zaznaczymy kilka główniejszych artykułów, przeciągających nadmiernie swoją obowiązkową siłę.

Mimo naczelnej zasady, zapewniającej w państwie wolność wyznania, istnieją w kodeksie kary, które ją najzupełniej znoszą. Bo jeżeli „za odwiedzenie przez namowy, ułudzenia lub inne środki osoby prawosławnego, rzymsko-katolickiego lub innego chrześciańskiego wyznania od jej religii do niechrześciańskiej winny ukarany zostanie pozbawieniem wszelkich praw i zesłaniem do robót ciężkich w twierdzach na czas od ośmiu do dziesięciu lat“— to o żadnej swobodzie wiary nie może być mowy. Zdawałoby się z tego artykułu, że ona przynajmniej istnieje w zakresie chrześciaństwa; tymczasem jeden z następnych przepisów wyraźnie zastrzega, że: „kto osobę prawosławnego wyznania skłoni do przejścia na inne *chrześciańskie* wyznanie, ukaranym zostanie: zesłaniem na mieszkanie do gubernii tomskiej lub tobolskiej.“ Niedość tego. Inne artykuły posuwają surowość prawa jeszcze dalej: „ktoby wiedząc, iż żona jego, dzieci, lub inne osoby, nad któremi prawo powierza mu dozór i pieczę, mają zamiar odstąpić od wyznania prawosławnego, *nie usiłował* odwieść ich od tego zamiaru i dla przeszkodzenia im w dopięciu go nie użył żadnych, od niego zależnych, prawem dozwolonych środków, ukarany zostanie aresztem od dni trzech do trzech miesięcy.“ Na podobnem stanowisku stoją wszystkie artykuły tego działu, przeczące zasadniczemu prawu jednostki w każdem państwie ucywilizowanem, które jej zapewnia zupełną wolność wiary.

Niezwykłą surowością odznaczają się również kary, określone „za bluźnierstwa i obrazę religii.“ Przestępstwa tego rodzaju kodeks karze surowiej niż zabójstwa, a rozciąga winę nietylko do umyślnych, ale na-

---

²)

GŁODOWA POŻYCZKA

NOWELLA

Sewera.

Nie miała czasu ani zapłakać, ani dzieci popieścić. Cały dzień przy robocie — wieczorem trzeba było warzyć wieczerzę, świtaniem śniadanie i objad. I żeby sobie zato zapracowała choć spokój; żeby głód cisnący się do chaty odegnać mogła?! Serce się jej ściskało, czarne myśli obsiadły mózg, rady sobie dać nie mogła.

Dzieci patrzyły na nią smutne, choć się nie skarżyły. Komin czarny bez ognia wyglądał ponuro; wpadnie przez niego do izby wiatr, przejdzie po kościach i wyleci. Strapiona kobieta spojrzała na dzieci i uśmiechnęła się smutnie jakoś, rzewnie, coś ją załaskotało w gardle, a w piersiach zaparło... Nareszcie się przemogła.

— Kupiłam za cztery centy grudkę soli, będziemy mieli do ziemniaków...

— Ziemniaki, ziemniaki — szczebiotała Marysia podskakując. Chwyciła się matczynej spódnicy i pobiegła za nią.

W sionce pod ścianą wykopany był dołek, przykryty słomą, założony deską tak, że nie bardzo i znać było. Jaga i Antoś odważyli deskę, rozgarnęli słomę, wydobywając do przyniesionego koszyka ziemniaki.

— Mój Boze — skarzyła się kobieta — pan Jezus nie dał jakoś tego roku chleba,— dawniej to się zebrało z tego samego kawałka i ośm korcy, dziś nie ma jak dwa,— a tu jesce trzeba schować na sadzenie. Z wiosny wymroziło, a potem wiatr wypalił.

Dzieci napełniły koszyczek, gromadka wróciła do izby. Antoś podawał patyki, Jagusia układała je na kominie, matka zapaliła garstkę słomy, ogień buchnął, dzieci się roześmiały. I Jaś się roześmiał, leżąc oparty głową na poręczy łóżka. Zimno ustępowało mu powoli i chłopiec widocznie trzeźwiał.

Skrobano kartofle z zapałem.

— Moje dzieci, okrasy nie mam — mówiła matka. A skądbym ją wzięła! Krowina posła na pogrzeb. Bo i jakze nie dać jegomości na chwałę bozą, — a tu zaraz wyciąga rękę organista, i grabarzowi płać i dziadom, a ludziom podziękuj. Restę wzięli za podatek i nawet na bucięta dla was nie stało.

— Co tam matuś — zawołał Antoś — jak urosnę, jak ci nie złapę za siekierę, jak ci nie zacnę rąbać sągów, abo piłą trackę dla zyda ciąć, to ci taką galantą jałowicę na jarmarku kupię, ze zobacysz.

Dzieci się uśmiechnęły na wspomnienie galantej jałowicy.

— Co napotka — mówił dalej o krowie chłopiec, aby pocieszyć matkę — zaraz zezre, a jak się obje, to będzie wołać na matusię buu—a buu, zeby ją matsia co zywo doili.

Serdeczny śmiech dzieci przerwał opowiadanie Antosia, Jaś im z łóżka wtórował, uśmiechnęła się i matka.

— A cem ja cię uchowam moje dziecko cem, zebyś ty urósł i miał siłę do siekiery!

— Cem, pochwycił chłopiec, a dyć Gębala bogac. Na wiosnę pójdę do niego służyć za zycie i przyodziewek, toć tam przecie skrzepnę na kluskach z omastą.

— Matsiu Antoś skrzepnie, jak się patrzy.

—A i ja skrzepnę zobacycie tylo odemnie zimno odleci — odezwał się Jaś.

— A mozeby go i Ulinkę głąbiem okadzić — szepnęła Jagusia, podsuwając radę matce.

— Ej kadzić głąbiem, to ino dobrze na kołtun moje dziecko; zimno się głąbia nie boi. A moze tam da Bóg, ze i samo odleci. Oskrobane i wypłukane kartofle wrzucono do garnka, zalano je wodą i przystawiono do ognia. Jagusia z Antosiem tłukli sól obuchem siekiery.

Zrobiło się na dworze ciemno, a w izbie ciepło, woda zawrzała, kartofle pękały i same rozsypywać się zaczęły. Dzieci ciekawie zaglądały w garnek.

— Spróbujcie no matusiu, moze juz zmiękły — szczebiotała Marysia.

Kobieta wyjęła łyżką pęknięty ziemniak,

wet bezwiednych znieważeń religii. „Jeżeli dowiedzionem będzie, że dopuszczający się w publicznem miejscu wyrazów, mających *pozór* bluźnierstwa przeciw Bogu, łżenia świętych pańskich lub ganienia chrześciańskiej religii i kościoła, uczynił to *bez zamiaru obrażenia* świętości, lecz jedynie z nierozumu, ciemnoty lub w stanie opilstwa, skazany zostanie na zamknięcie w domu poprawy od roku jednego do dwóch lat z utratą niektórych szczególnych praw i przywilejów, albo na zamknięcie w domu poprawy od sześciu miesięcy do dwóch lat.“ W artykule tym zbiega się cały szereg zagadnień społecznych, od poczytalności do oświaty. Czyż człowiek, będący w stanie „opilstwa, nierozumu lub ciemnoty“ może być odpowiedzialnym za swe słowa, zwłaszcza gdy społeczeństwo nie daje mu możności wyjścia co najmniej ze stanu „nierozumu i ciemnoty?“

Następne artykuły powiadają: „kto w dziełach swych, drukowanych lub nawet rękopiśmiennych, jakimbądź sposobem rozszerzanych, dopuści się bluźnierstwa przeciw Bogu, łżenia świętych pańskich lub ganienia chrześciańskiej religii i kościoła, albo znieważenia Pisma ś-go i sakramentów św., ten ukarany zostanie pozbawieniem wszelkich praw i zesłaniem na osiedlenie wodleglejszych miejscach Syberyi; przekonany zaś o szydercze, jawnego lekceważenia dowodzące wyśmiewanie przepisów i obrzędów kościoła chrześciańskiego lub chrześcianizmu wogóle, skazany zostanie na osadzenie w wieży od sześciu miesięcy do roku jednego.“ Artykuły te przedstawiają bardzo wielkie niebezpieczeństwo dla nauki. Łącznie bowiem z niepowściągliwym urwisem na jednej ławie oskarżonych zasiąść może najpoważniejszy badacz, którego wywody uznane zostaną za „bluźnierstwo“ i „jawne lekceważenie chrześciaństwa.“ Chociażby to nie leżało w intencyach prawodawcy, znaleźć się mogą sędziowie, którzy elastycznemu wyrazowi „obraza religii“ nadadzą znacznie, poczytujące za winę wszelką myśl niezgodną z wymaganiami ortodoksyi. Pojęcie bluźnierstwa jest bardzo względnem; wszak i Galileusz, głosząc ruch ziemi, „bluźnił,“ a jednakże my dziś bezkarnie w to bluźnierstwo wierzymy. Co jest obrazą Boga w przekonaniu jednego, nie jest nią w przekonaniu drugiego. Zresztą Bóg w rozumieniu chrześciańskiem posiada dość siły, ażeby się nie obawiać ludzkich obmów i nie uciekać pod skrzydła ludzkiej opieki.

Przejdźmy do innej kategoryi przestępstw, mianowicie do kar na samobójców. „Jeżeli kto — powiada kodeks — nie wskutek obłąkania, niemocy, lub czasowej z powodu choroby, nieprzytomności umysłu, lecz z zamiarem życie sobie odebierze,“ uważać się będzie za bezwłasnowolnego, nie będzie miał prawa czynić żadnych rozporządzeń, zapisów i t. p. Możnaby usprawiedliwić ten przepis, gdyby on dotykał właśnie obłąkanych i nieprzytomnych; wówczas bowiem prawo wychodziłoby ze słusznej poniekąd zasady (poniekąd tylko, gdyż trudno określić stan zdrowia nieboszyka), że wola waryatów i chorych szanowaną być nie powinna. Ale w obecnej postaci kodeks popełnia nielogiczność, karząc człowieka, który skutków kary, jako nieżywy, ponosić nie może. Jeszcze słabszą podstawę ma artykuł następny: „Przekonany o usiłowanie odjęcia sobie życia... ulegnie, jeżeli jest chrześcianinem pokucie kościelnej.“ Więc człowiek, którego życie tak zgnębiło, że pragnie je sobie odebrać, który już wyczerpał wszystkie środki ratunku, który doszedł do krańca rozpaczy, ten człowiek, wbrew swej woli ocalony, ma być karany? Czyż samobójstwo jest przyjemnością, której można sobie odmówić? Czyż to jeden z wybryków złej woli, a pokuta kościelna skutecznem dla niej wędzidłem? Kto kładzie lufę pistoletu w usta, ten chyba o takich drobiazgach nie myśli.

Rzecz naturalna, że wskazaniem tych kilku punktów nie mamy zamiaru wyczerpywać wszystkich słabych stron kodeksu; zresztą krytyka taka byłaby o tyle daremną, że nie wpłynęłaby wcale na postanowienia komisyi. Dotknięte wyżej anachronizmy dają nam jedynie próbkę tych zadań, które na niej ciążą i które w innych państwach europejskich już dawno rozwiązane zostały w sposób należyty. Samo nawet sumienie wykonawców prawa łagodzi ciągle jego surowość. Gdyby w sądach literalnie stosowano wiele artykułów kodeksu, Syberya zapełniłaby się ludźmi, którzy są najspokojniejszymi członkami społeczeństwa.

Nadzwyczajna rzadkość kar, wymierzanych za „bluźnierstwa,“ przekonywa dowodnie o ich nadmiernej i powszechnie uznanej srogości. Bez tej osłony w obecnych naszych sądach powtarzałyby się sceny średniowieczne, wyroki Inkwizycyi, chociaż bez stosów i tortur.

Oprócz artykułów wzmiankowanych gazety rosyjskie donoszą o zmianie innych przepisów kodeksu karnego. I tak: pogróżki mają być utożsamione z obelgami słownemi; bójki i pobicia — odniesione do gwałtów, nie zaś do prostych obelg czynnych; obraza honoru rozpadnie się na trzy rodzaje: obrazę osobistą, potwarz i karygodne rozgłaszanie krzywdzących wieści; powództwo cywilne o zniesławienie ma być usunięte; obelgi osobiste obciążone będą karą 300 rs., aresztem do 3 miesięcy lub więzieniem do 4; potwarz podlegać będzie karze 500 rs. łącznie z aresztem do 3 dni lub więzieniem do 8 miesięcy; prawo zaś dochodzenia obelg osobistych (nie potwarzy) zostanie ograniczone do 1 miesiąca.

W projektach tych przebija się wyraźnie chęć staranniejszego osłonięcia czci jednostki, która dziś, słabo z tej strony zabezpieczona, ucieka się musi do barbarzyńskiej rozprawy pojedynkowej.

. . . .

---

ostudziła go, osoliła i podała Marysi.

Uradowana dziewczynka pochwyciła go drżącemi z niecierpliwości rękami: był jeszcze za gorący, upadł jej z rąk na ławę; wtedy zaczęła na niego dmuchać, a potem obłupywała z wierzchu ostudzone kawałki i kładła je do ust.

— Może i jabym jednego dostał — odezwał się nieśmiało Jaś.

Matka podała mu, głaszcząc go po buzi.

— Skrzepileś się dziecko.

— A, ino — szepnął Jaś.

Również dostali po jednym Antoś i Jagusia. Tymczasem ziemniaki uwarzyły się, były mięciutkie i sypkie. Wodę z nich matka odlała, potem je osoliła, utłukła i wysypała na miskę. Obudzono Ulinkę i sześcioro w milczeniu zasiadło do jedzenia.

— Żeby tak choć z ośm korcy, tobym przezimowała z biedą — pomyślała Jagielina. Na sól i omastę uprzędłabym przecie. Ale cóż, pan Jezus nie dali biedny człowiek nie poradzi.

Węgle czerniały i gasły, wiatr przez komin wlatywał, dzieci jedno po drugiem powsuwały się pod pierzynę. matka położyła się w środku — i za chwilę dały się słyszeć miarowe oddechy śpiących. Wiatr tylko przez komin wpadał do izby, zahuczał, zaświstał i legł pod łóżkiem lub ławą.

II.

Dzień po dniu mijały chyżo, bo jakoś i jesień była łagodna, i zarobku nie brakło. Jagielina umiała miądlić len i konopie. Gdy się skończyła robota we dworze, miądliła po wsi gospodyniom. Chociaż tamroku tego nie było urodzaju i ludzie przepowiadali głód, to przecież nieraz wracając z zarobku, przyniosła do izby i mleka w garnuszku i kawałeczek sperki na okrasę. Antoś uprosił sobie poganiaczkę przy pługach dworskich, a że był ucieszny, lubili go fornale i co dzień „szóstkę“ przynosił do domu.

Matka chowała pieniądze na buty dla chłopca i przednowek, uśmiechała się jakoś samochcąc, nadzieja ośmielała ją. Jagusia znosiła patyki i pilnowała dzieci. Gromadka przyczajona, bojąc się zazdrosnych oczu nieszczęścia, nie śmiała głośno się radować. Jeden Antoś, uważając się już za parobka, miał minę pewną siebie.

I mimo że się kryli jak mogli, nieszczęście ich znalazło.

Od paru już dni mówiono po wsi o licytacyi.

Ludzie gadali na konwisarza i Wątorka, ale na to nie było rady.

— Bo i komuż się poskarżyć — mówili.

Było to jakoś zaraz po południu, gdy znowu zajechała bryczka przed chatę Jagieliny. Wyskoczył z niej pan sekwestrator prywatny, za nim radny.

Weszli do izby. Przelęknione dzieci skryły się pod pierzynę.

— Tu już niema nic do zabrania — odezwał się sekwestrator, spoglądając po izbie.

— A nie — odpowiedział radny; ziarna u niej nie oświadczy, len sprzedała, kożuch poszedł do ludzi jeszcze na wiosnę. Ma tam pono trochę ziemniaków, ale gdzieś dobrze schowała.

Wpadła do izby Jagusia.

— Gdzie schowane kartofle — wrzasnął na dziewczynę sekwestrator.

— Nie wiem—ledwie że mogło wymówić zalęknione dziecko.

Pan sekwestrator prywatny zamierzył się laską — dziewczyna przyklękła ze strachu.

— Gadasz?!

— Nie powie — szepnął Wątorek. A toć przecie,—wskazał oczami pierzynę— warta ze dwanaście papierków.

— Bierz — krzyknął pan sekwestrator prywatny.

Radny pochwycił za pierzynę. Dzieci z przerażenia wpiły w nią zaciśnięte palce. Pan sekwestrator prywatny uderzył laską po kurczowo ściśniętych rękach dzieci, tak że słychać było odgłos spadającego kija. Nareszcie Wątorek wydarł pierzynę. Sekwestrator się rozśmiał, dzieci zaczęły płakać z bólu i strachu.

— Ha, jakie to te chamskie plemię zażarte. Jak wyrośnie, będzie rozbijać na publicznych drogach.

— Ma czego bronić! — wtrącił Wątorek — troszkę pierza i to starte na proch.

Zawinął zdobycz, aby jak najmniej zająła miejsca w wyładowanej bryczce.

W pewnym związku z reformą kodeksu jest zniesienie publicznego wykonywania kary śmierci, które — jak słusznie wyraził się jeden z dzienników rosyjskich — „przyczyniło się tylko do zdziczenia obyczajów.“ Każdy krok naprzód jest wielki tam, gdzie ich trzeba zrobić bardzo dużo.

EDMOND ADAM
jako powieściopisarka.

I.

Są dzieła, a szczególnie powieści, których zaletę stanowi nazwisko autora, które dzięki jemu nabywają rozgłosu i rozchodzą się po świecie. Odległy czytelnik, sądzący jedynie utwór i niebiorący w rachunek faktów, skupiających uwagę około autora, nie może pojąć, dla czego książka, nieodznaczona często ani siłą talentu, ani myślą nową, uczyniła tyle hałasu, zaciekawiła myślący ogół i rozbiegła się w niezliczonej liczbie egzemplarzów.

Do podobnych książek należą powieści Juliety Lamber, pod którym to pseudonimem występuje w literaturze Edmond Adam, wdowa po deputowanym, kobieta zajmująca wybitne stanowisko w literaturze i polityce, jedna z tych osobistości, które nawet w Paryżu, w tem ognisku bogactwa, inteligencyi i sztuki, umieją zwrócić na siebie uwagę.

Pani Adam posiada wszystkie dary, które kobietę stawiają na świeczniku: piękność, majątek, wysokie położenie. To stałnie nadaje jej przyjaźń Gambetty. Inteligentna i wykształcona, zdołała wyrobić sobie stanowisko towarzyskie, stała się duszą literackiego i politycznego stronnictwa, którego wyrazem jest *Revue nouvelle*. Organ ten, założony i prowadzony przez panią Adam, przeciwstawia się rutynicznej, akademickiej, a co gorsza — ogólnie obwinionej o zaprzedanie się jednemu z zagranicznych mocarstw *Revue des deux mondes*.

Kierunek nowego przeglądu streściła redaktorka we wstępnym artykule. Zasługuje on na uwagę, ponieważ wypowiada cały program jej działalności. Program ten, jak zwykle, zawiera więcej słów i deklamacyi, niż treści.

Pani Adam, powołując się na filozofię grecką, a głównie na Thalesa, który pierwszy zwrócił się do natury i zaczął ją badać, dowodzi, iż my we dwadzieścia z górą wieków po nim tak samo badamy zjawiska społeczne. Według niej, jak pokolenia, podobnie wiek każdy doszedłszy do swojej męzkości, zapładnia wiek następny i nosi w sobie zagadnienia przyszłości. Tym sposobem sprawy społeczne, trapiące koniec dziewiętnastego stulecia, w dwudziestem dopiero znajdą swoje rozwiązanie.

Jak chemia powstała z alchemii, astronomia z astrologii, tak zdrowa socyologia zrodzi się z socyalizmu.

Wprowadzić ją w życie mogą tylko szczepy łacińskie, którym autorka przyznaje prawo przodownictwa w dziejach rozwoju ludzkości, a szczególniej Francya, do której czuje gorącą miłość łącznie z zamiłowaniem wolności.

Można śmiało powiedzieć, że program ten nie zawiera nic nowego—nic, czegoby średnio wykształcony człowiek nie mógł równie dobrze a może lepiej, jaśniej i prościej sformułować. Szczególnie ustęp o wiekach, rodzących następne, jest przenośnią dość nieszczęśliwą, boć wieki nie mogą być porównane do życia ludzkiego, nie mają okresu dzieciństwa, męskości i dojrzałości. Podział czasu jest rzeczą zupełnie dowolną; wiemy bowiem dobrze, iż każda chwila rodzi następną, a wiek równie dobrze można zacząć liczyć od każdego roku. Pani Adam przemawia z dumą właściwą swemu narodowi, po części usprawiedliwioną w przeszłości. Miłość zaś jej swobody jest rzeczą względną, jak wiele uczuć ludzkich. Polityczne widoki czasami stają na przekór tej nieugiętej władczyni i z tego powodu zdarza się, iż autorka nie koniecznie szanuje w drugich to, czego pragnie dla siebie.

Te ujemne strony partyi politycznej, do której pani Adam należy, naturalnie znalazły odbicie w jej *Przeglądzie* i salonie. Redaktorka siłą wpływowego stanowiska skupiła około siebie rozmaite żywioły; to też ma ona obecnie w Paryżu jedyny prawie salon, otwarty na oścież dla wszystkiego, co odznacza się jakąbądź znakomitością.

Taki salon już sam przez się stanowi potęgę kobiety, która umiała go stworzyć. W Paryżu, w ojczyźnie życia towarzyskiego, to samo już stanowi tytuł do sławy i wdzięczności narodowej. Salon ma za sobą powagę tradycyi, przywodzi na myśl szereg inteligentnych kobiet, począwszy od słynnej pani de Rambouillet, bliższych nam pani Geoffrin, lub pani Necker, aż do bohaterki rewolucyjnej pani Roland, które dzierżyły berło rozumu, dobrego smaku i opinni, przyczyniły się dzielnie do ugruntowania wiary we wszechmoc wdzięku, dowcipu i zręczności niewieściej.

Rzeczywiście, w swoim czasie te kobiety miały królewską władzę; rządziły nie tylko tak zwanym światem, nie tylko światem umysłowym, ale przezeń wywierały nacisk na wypadki, tak iż salony ich stanowiły ogniska, w których ważyły się nieraz losy narodów.

Po większej części jednak królowe salonów poprzestawały na berle towarzyskiem, na potędze faktycznej, której utrzymanie wymagało całej ich działalności, i nie sięgały po wawrzyny autorskie. Były natchnieniem artystów, poetów, filozofów, były ich przyjaciółkami, powiernicami, kochankami, dzieła ich rodziły się i wychodziły na świat pod ich egidą, sława tworów była ich dziełem, dzieliły się nią, i na tem poprzestawały zupełnie. Pióro brały do ręki li tylko dla pisania listów. To też kunszt korespondencyjny posunięty był z tego powodu do wysokiego stopnia; kobiety wysadzały się na najprostszy bilecik, owe liściki obiegały z rąk do rąk w odpisach, a wiele z nich świadczy o wielkiej zręczności i dowcipie szafowanym na powszedni użytek.

Obecnie salony nie mają i mieć nie mogą znaczenia, jakie miewały dawniej. W naszym demokratycznym, pracowitym wieku, nie posiadamy dość czasu na owe wysiłki i igraszki dowcipu, które stanowiły istotę towarzyskich stosunków. Waga społeczna przeniosła się od warstw uprzywilejowanych i próżnujących, do warstw oddanych pracy, a te z konieczności szukają w towarzyskich stosunkach nadewszystko wytchnienia i swobody, nie zaś pola popisu.

Stanowi to zasadniczą różnicę, która odbija się w charakterze dzisiejszych salonów. Gospodynie ich przestały być królowemi, wyglądają raczej na utrzymujące domy zajazdu. To też dziwić się nie mo-

---

Jagusia uciszała wystraszone i ziębnięte dzieci, rozpaliła ogień na kominie, chcąc je ogrzać i rozweselić.

Ostrzeżono Jagielinę, biegła do chaty, drżąc na całem ciele. Ciemne płatki latały jej przed oczami, uważała je za zły znak; ziemia przed nią ustępowała, świat się kołował, kobieta pędziła, chwytając prędko w płuca powietrze, którego, zdawało się, brakowało dla niej.

Stanęła na progu, spojrzała dokoła — na łóżku garść tylko słomy, dzieci ziębnięte, sinawe, wystraszone grzały się przy kominie. Nie miała sił płakać, nie była w stanie skarżyć się, nie mogła przeklinać. Blada, z oczami wlepionemi w puste łóżko, siadła cicho na ławie, nie przemówiwszy słowa; dzieci ją obstąpiły, głaskały, pieściły, lecz nie mogły wydobyć z niej ani jednego wyrazu. Marysia patrząc na zgnębioną matusię, przestraszyła się i płakać zaczęła. Pomagała jej Ulinka — Jaś niespokojny pociągał matkę za zapaskę.

— A cóż wam to, ze nie przemówicie i słowa.

Do chaty zajrzała Smoleńka. Dzieci ją przywitały, całując w rękę.

Widziała Smoleńka, jak Wątorek wynosił za sekwestratorem pierzynę i zaczęła okropnie pomstować na tego draba i odgrażać się.

Wtedy dopiero z oczu Jagieliny wytrysnęły łzy, lecz się nie skarżyła, ani narzekała.

— Nie płaccie tak ciężko — odezwała się Smoleńka, bo i mnie cóś zacyna dławić. Dałabym wam, ale Bóg mi świadkiem, sama jestem biedna.

Wybiegła z izby i za chwilę przyniosła dość jeszcze dobrą, łataną płachtę. Przykryła nią łóżko.

— Tymcasem wystarcy i to — będę ja tam jeszcze sukać dla was po wsi jakich łachów, aby się ino zasłonić od zimna.

Wrócił Antoś od poganiaczki i przyniósł szóstkę; była to już piętnasta. Spojrzał na łzy matki, na łóżko i odrazu zrozumiał wszystko.

— Byli tu pewno konwisarz z Wątorkiem — szepnął do Jagusi.

Jagusia kiwnęła głową.

Chłopiec popatrzył na łóżko, podumał i wysunął się z chaty.

Za nim wybiegła siostra.

— Jantoś nie pomozes mi to skrobać ziemniaków — wołała.

— Zaraz wrócę — odpowiedział chłopiec, galopując w stronę ogrodu dworskiego.

Widział, jak ogrodnik za parkan wyrzucił starą słomianą matę, przeszywaną sznurkiem; pobiegł, zwinął ją, założył sobie na ramię i przyniósł do chaty.

— Widzicie, jaka ci pierzyna, świeci się jakby złota—odezwał się, rozkładając matę na łóżku.

Dzieci, ciesząc się, zaczęły wołać:

— Matsiu, pierzyna ze złota, — patrzcie ino, jak się świeci.

Matka spojrzała z po za łez.

Marysia i Ulinka w drapały się na łóżko i schowały po za matę, okrywając się płachtą.

— Mata ciepła jak pierzyna — chwaliły, wychylając główki z po za słomy. Jaś, ciekawy na wszystko, poszedł za przykładem sióstr.

— Cieplutka, matusiu, jakby była przetykana pierzem i nic ci nie ciężka.

— I cóż nam konwisarz z Wątorkiem zrobią — odezwał się wesoło Antoś. Cego się tu trapić matusiu?... A wiecie, ze może zostanę we dworze przy koniach. To i chleba co tydzień przyniosę bochenek do chaty.

— Weźże mnie mój Jantoś na poganiaca — prosił się Jaś, wychylając głowę z za słomianej kołdry.

— Na wiosnę — zobacys.

Pomysł Antosia okazał się wybornym. Mata lekka i ciepła.

Tymczasem na licytacyi Wątorek ze Szmulem na współkę, oprócz innych rzeczy, kupili pierzynę Jagielinej za sześć papierków. Pieniądze te poszły również na spłatę kosztów sekwestracyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

żna, iż nie znajdując tutaj dostatecznego pokarmu dla miłości własnej, wskrzesicielka dawnych tradycyi salonowych, pani Edmond Adam, nie poprzestała na stanowisku władczyni towarzyskiej, zdetronizowanej poczęści, i postanowiła wmięszać się w szeregi piszących, a w czasie, w którym powieść rozwielmożniła się w literaturze, obrała sobie ten zawód. Ten bowiem rodzaj literatury nęci pozorną łatwością swoją, a przytem obejmuje wszystkie stosunki ludzkie, wszystko w nią bez wyjątku wcisnąć można; zdaje się więc dostępną każdej wykształconej jednostce. Słowacki w poemacie, rzucającym najwięcej światła na umysł twórczy i na genezę dzieł jego, tak mówi o swoich poetycznych dziełach:

„Jedne rodzą się z serca, drugie z głowy
A trzecie z dziwnej twardej wiary
W przeszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte koń mi przywiózł kary."

Otóż postaciom stworzonym przez panią Adam nie można przyznać żadnego z tych pierwiastków. Zpewnością nie powstały one w wyobraźni autorki w postaci mar dopominających się ciała, ale sama szukała ich pracowicie, zrodziły się one z woli podżegniętej miłością własną, a stempel tego pochodzenia jest tak wyraźny, iż omylić się na nim niepodobna.

Walerya Marrené.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dzieje Polski, według najnowszych źródeł streszczone dla dzieci przez *Sokoła*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1881, 16-a str. 153, II.

Kompromitującym i komicznym jest tytuł książeczki: autor (pewniej autorka) do podręcznika dla dzieci czerpał ze *źródeł* i to *najnowszych* i ze *źródeł* owych pracę swą *streszczał*... Nie rozróżnił pisarz rzeczy tak prostych, jak *opracowanie* i *źródło*, stąd kompromitacya owa i komizm. Brał naturalnie z opracowań, lecz czy z *najnowszych* i czy czerpał dokładnie?

Zle autor usadowił słowian, bo pominął obszary pomiędzy Elbą a Odrą (str. 2); wziął Lecha na seryo, wywiódł od niego lechitów i założyć kazał mu Gniezno. „Po wygaśnięciu rodu lacha, *naród nasz*, nadewszystko ceniący odwagę, obrał sobie za knezia władcę Chrobatów, Kraka lub Krakusa, który zasłużył się ziomkom swoim przez zabicie smoka... Kneź ten założył nad Wisłą Kraków, gdzie *przeniósł stolicę* i dobrze się *polakom* za wyniesienie swe wywdzięczył... Córka Krakusa, Wanda, odznaczyła się też wielką miłością dla narodu; nie chcąc bowiem narażać *polan* na zemstę Rytygiera, rzuciła się w nurty Wisły" (str. 2).

W dosłownie przytoczonym ustępie ileż niedorzeczności i błędów! Jaki to *nasz naród* po Lechu obrał na knezia chrobackiego Krakusa, który — o ile wiadomo — smoka nie zabił i do Krakowa stolicy nie przeniósł. Nie uznaje autor odrębności chrobatów i polan, książąt jednych i drugich ustawia w szeregu, każe im panować w Polsce, której jeszcze nie było, przenosić stolice i t. p.

Dowcipną jest geneza zaborczości germańskiej: „że Polska stanowiła pożądany łup dla sąsiednich Niemiec, dziwić się temu nie można; gdy bowiem Niemcy już wówczas przeludnionemi były, Polska przy niewielkiej ludności obfitowała w urodzajną glebę, łąki i lasy; gdy Niemcy były ciągłym teatrem wojen, Polska trudniła się rolnictwem; dla tego więc u niemców brakowało chleba, któregośmy mieli nietylko dosyta, ale nam go jeszcze starczyło na rozdanie" (str. 4).

Za Mieszka I granice Polski rozciągały się „od morza Bałtyckiego po Karpaty" (str. 9), pomimo tego Bolesław Chrobry „zagarnął Czechy, Morawę, Szląsk i Chrobacyę z Krakowem," a obok tego „pomorzanom *odebrał* Gdańsk" (str. 14). Św. Wojciech apostołuje za Mieszka I (str. 8). Bolesław Chrobry cudzoziemców sprowadza i *przywileje* im daje (str. 12); Mieszek II umarł *po grecku*, za życia ojca „dosyć był walecznym," lecz „sąsiedzi widząc jego *nieudolność*, postanowili z niej skorzystać" (str. 14).

„Jarosław odzyskał Kijów" (str. 14), — czy nie od Polski? Bolesław Śmiały odmówił Izasławowi pomocy „przeciw Wszesławowi, powtórnie biorącemu Kijów" (str. 17), a po zamordowaniu biskupa Stanisława „zląkł się sam siebie" (str. 18). Sieciech był wojewodą *krakowskim* (str. 19); Władysław II „jako *książę* krakowski odziedziczył tytuł *królewski*" (str. 22); Szląsk *odpadł* od Polski, przechodząc w ręce synów Władysławowych" (str. 24); Mieszek Stary „podszedł zbrojnie pod Kraków, ale pobity *pod* Mozgawą" (str. 27), przyrzekł Helenie „połączyć Wielkopolskę *z Koroną*" i t. p.

Krzyżacy wraz z kawalerami mieczowymi „widząc smutny stan Polski do opustoszonych wsi i miast" sprowadzili „mnóstwo Niemców, którzy rządząc się prawem magdeburskiem... kazili nasz język" (str. 32). Łokietek i Kazimierz W-ki zwołują *sejmy* (str. 40 i 41); „możnowładztwo wzrastać u nas zaczęło od zjazdu koszyckiego, na którym Ludwik stronnikom swoim nadał liczne przywileje" (str. 49); aktem unii horodelskiej „prawa obu narodów zrównano" (str. 51) i t. p. i t. p.

Dla przedstawienia błędów choćby ważniejszych trzebaby grubą napisać książkę. Autor (pewniej autorka) widocznie nigdy się historyi nie uczył i uważnie elementarnego podręcznika (np. p. Lei) nie czytał. Nie zna faktów, nie rozumie najprostszych rzeczy i o nauczaniu wyobrażenia nie ma żadnego. Złych podręczników historycznych mamy moc wielką, lecz książeczka p. Sokoła nieudolnością przewyższa wszystkie. Niech też w spokoju na półkach księgarskich butwieje.

Wł. Smoleński.

Wieczory florenckie (Causeries florentines) Juliana Klaczki, tłomaczył z upoważnienia autora *St. Tarnowski*. Warszawa nakładem L. Polaka 1881 r.

Studya nad pomnikami literatury powszechnej są u nas taką rzadkością, że prawdziwie pożądanem zjawiskiem nazwać wypada przekład świetnej pracy o wielkim twórcy *Boskiej komedyi*, napisanej po francusku przez polaka a należącej tonem i treścią do tych dobytków umysłowych, które przechodzą na własność powszechnej cywilizacyi. Nasza wiedza o Dantem, tak skąpa a uboga, w tej pracy zyskuje znakomite pomnożenie, z którego ważnością nie mogą się porównać dotychczasowe artykuły i studya dorywcze, pomieszczane po czasopismach a będące przeróbką tylko albo streszczeniem prac Ozanama i innych pisarzy. Książka p. Klaczki należy jednak nietylko u nas do najoryginalniejszych zjawisk krytyki literackiej, wzniesionej na filozoficzną wyżynę. Nie jest to długi, rozwlekły, naładowany ciężką erudycyą, komentarz, nie jest to dzieło analityka, zbudowane podług ścisłej metody lub systematu, ale dyalog artystyczno-filozoficzny, w którym autor wzorem starożytnych pisarzy wprowadza kilka osób, zestawiając różnorodne opinie, aby wyłożyć z tem większą jasnością swoje poglądy na najgłówniejsze zagadnienia poezyi dantejskiej. Forma dyalogu jako wykładu naukowego, będąca wytworem ducha dyalektyki greckiej, podniesiona do takiego mistrzowstwa przez Platona, w literaturze rzymskiej uprawiana z zamiłowaniem przez Cycerona, dla dzisiejszego wykładu naukowego niezupełnie jest odpowiednią; ale do takiego filozoficznego szkicu, w którym piękność formy gra tak ważną rolę, okazała się bardzo podatną. Co prawda podobieństwo dyalogu p. Klaczki z dyalogiem starożytnym, jest tylko zewnętrzne. Gdy bowiem u Platona a nawet u Cycerona tok dyalogu opierał się na ciągłym dyalektycznym sporze, w którym zwyciężała osoba wypowiadająca przekonania autora, w *Wieczorach florenckich* dyalektyka bardzo małą gra rolę i tyczy się kwestyi drugorzędnych a cały bieg myśli jest wykładowy, konferencyjny, prowadzony w taki sposób, że w rozmowie zabierają z kolei głos osoby, mające w danej kwestyi więcej do powiedzenia i snują szeroko wątek myśli, przerywany tylko objaśnieniami, pytaniami, albo zgrabnymi zwrotami. Taka forma odejmuje książce sztywność szkolnego wykładu, nadając jej istotnie wdzięk prawdziwej *Causerie*, łączącej powagę, głębokość myśli z lekkością i elegancyą.

Punktem wyjścia dla całego studyum jest rzucona przez jedną z osób należących do dyalogu kwestya wyjaśnienia tego, co ona zowie *tragedyą Dantego*, co tłomacząc na język bardziej ścisły jest poprostu kwestyą stanowiska poety w stosunku do współczesności, wytłomaczeniem przyczyn jego, wielkich boleści, rozterki z rzeczywistością, w imię wyższych ideałów. Zanim autor przystępuje do ostatecznej odpowiedzi na to pytanie w pierwszej części swej pracy, noszącej tytuł „Dante i Michał Anioł," zestawia oba te kolosalne geniusze, pokrewne olbrzymim polotem fantazyi i wielkością podejmowanych przedmiotów tworzenia.

Głównym celem tej pierwszej części jest wykazanie zasadniczej różnicy pomiędzy potężnym samowładczym geniuszem Michała Anioła, „który był bez poprzedników i następców" i z własnej energii duchowej chciał wyprowadzić cały świat potężny, a geniuszem Danta, niezrywającym z tradycyą wieków średnich, ale biorącym ją za podstawę swej twórczości. Tragedya Michała Anioła polega na potężnem pasowaniu się jego geniuszu z przyrodniczemi granicami możliwości w sztuce, gdy tymczasem Dante w poezyi nie czuł mocy takich szranek niezłomnych. Twórczość Michała Anioła wyraziła się w mnóstwie potężnych, ale oderwanych lub odłamanych fragmentów, gdy tymczasem twórczość Danta objawiła się w całości skończonej i harmonijnej pomimo swego ogromu, wcielającej wszystkie jego pomysły, cały systemat wreszcie przekonań i idei. Przeciwieństwo geniuszów wypowiedziane świetnie, z jasnością i siłą argumentacyi ogromną; chociaż zbyt przesadnie zdaje nam się autor akcentować rozterkę indywidualności twórcy Mojżesza z otoczeniem, chce przyznać mu sprzeczne z nowszemi pojęciami filozoficznemi stanowisko zupełnej niezależności w stosunku do epoki, chociaż same rysy charakterystyki podane w książce wykazują właśnie wspólność samodzielnej, nieuznającej żadnych powag fantazyi mistrza z owym potężnym duchem protestu, jaki przeniknął ówczesny cały świat ucywilizowany, odsłaniają łączność jego potęgi z ową pełnią i nadmiarem sił kipiących w życiu umysłowem i fizycznem ówczesnych społeczeństw. W drugiej części książki p. Klaczko, torując sobie śmiało drogę pomiędzy całą rzeszą komentatorów, prostuje fałszywe zapatrywanie na poezyę miłości w Dantem, oraz znaczenie symbolicznej postaci boskiej Bertrice, uważanej za upostaciowanie teologii. Po świetnym poglądzie na charakter miłości w poezyi włoskiej, po doskonałej charakterystyce zasadniczych cech erotyzmu Petrarki, krytyk wykazuje odrębność pojmowania miłości od czasów Szekspira, wspólność pierwszych płodów lirycznych Dantego z dawniejszemi poezyami miłosnemi, oddziela je od późniejszego pojmowania miłości jako wyższej siły idealnej, jako po-

tęgi, ogarniającej świat i podnoszącej człowieka do wyżyn niebiańskich. Poddawszy trafnej krytyce *Vita nuova* Dantego, będącą późniejszym komentarzem do utworów napisanych w młodości, krytyk wyświetla, że poeta dopiero potem sztucznie starał się nadać symboliczne znaczenie, o którem pierwotnie nie myślał, a następnie dowodzi, że Beatrice w poemacie uosabia nie teologię, ale właśnie ową najwyższą uduchowioną siłę miłości, będącej składową cząstką i nowszej poetycznej dogmatyki. W trzeciej części książki (*Dante i Katolicyzm*) autor trafnie zbija poglądy niektórych krytyków, utrzymujących, że poeta od wiary pierwotnej, prostej przeszedł w okres zwątpienia do wiary w uczuciu skruchy i pokuty a szeregiem nadto przekonywających argumentów dowodzi, że Dante chociaż przeciwnik supremacyi kościoła w sprawach świeckich, zachowuje w kwestyach dogmatycznych najściślejszą prawowierność.

Największe ma znaczenie czwarta i ostatnia część książki (*Tragedye Dantego*), w której p. Klaczko ukazuje postać poety na szerokiem i świetnem tle jego epoki i zmienia zupełnie zasadniczy pogląd na ideę samego poematu, na jego wytyczne cele, objaśnia całą syntezę zapatrywań Danta na potrzeby i dążenia ludzkości. Opisawszy jego życie, jego stosunek do różnych prądów swego czasu, wykazuje, że *Boska Komedya* nie jest bynajmniej epopeją, nie jest odbiciem poetycznem swej epoki, nie jest *Iliadą* wieków średnich, ale *teogonią* katolicyzmu, poematem tendencyjnym, mającym za zadanie przekształcenie żyjących pokoleń w duchu wyznawanego przez poetę ideału, to jest powrotu do jednego państwa Chrystusowego, do monarchii uniwersalnej, reprezentowanej przez cesarstwo. Rozbierając traktat Danta *O monarchii*, p. Klaczko charakteryzuje cały fanatyzm polityczny Gobellina, który staje się obrońcą idei upadającej w rzeczywistości. Tragedya więc Dantego polega na tem, że był świadomym rzecznikiem sprawy upadłej a mimowolnym pracownikiem nowej epoki, dając wbrew ideom kosmopolitycznym początek poezyi narodowej, głosząc niezależność władzy świeckiej i dając popęd do duchowego pokonania świata chrześcijańskiego z pogańskim, będący żywotnym prądem epoki odrodzenia. W ogólnym wyniku całego rozumowania ukazuje nam krytyk Dantego jako konserwatystę z zasad a nowatora w skutek geniuszu, przyspieszającego przyjście stanu rzeczy, któremu chciał zapobiedz, jako utopistę przeszłości, należącego do tych, „którzy mieszcząc pod sobą swój ideał, chcieliby wskrzesić wieki upłynione.“

Streszczając główne punkty tej pracy, dajemy słabe tylko pojęcie o bogactwie treści, oryginalnych poglądów, które ją wypełniają od pierwszej do ostatniej karty. Można spierać się z autorem o niektóre szczegółowe sądy i opinie, ale przyznać należy, że całość rzuca jasne, olśniewające światło na wielką postać florenckiego wieszcza, odsłania wiele zagadek jego poezyi, ukazuje odległe widoki na cały obszar rozwoju poezyi, na całe zwroty zasadnicze pochodu cywilizacyi i wzrostu fantazyi. Zupełna niepodległość w stosunku do wszystkich poprzednich badaczów, których autor często trafnie zbija i analizuje, bystrość krytyki, opartej na szerokiej dziejowej podstawie, oryginalność jej wyników, sprawiają, że książka ta w rozwoju badań nad Dantem jest najnowszym wyrazem i wzbogaceniem krytycznej myśli. Pomimo kilku reakcyą trącących poglądów epilogu i dość niejasnego panegiryku na cześć utopij, całość napisana jest z krytycyzmem, któremu ze względu na naturę przedmiotu nie szkodzą bynajmniej pewne wyraźne objawy sympatyi dla powrotnych dążności. W porównaniu z pracami niemieckich kalibrowych krytyków i estetyków, studyum to pomimo głębi swej treści imponuje przekonywającą jasnością argumentów, powabem i swobodą wykładu, wielkim artyzmem formy. W rozwoju krytyki literackiej zaliczyć je można do płodów klasycznych a przyswojone naszej literaturze w doskonałym przekładzie należy do książek, których znajomość przynosi niewątpliwą korzyść każdemu umysłowi, czującemu wartość wielkich arcydzieł poezyi

J. Kotarbiński.

PIŚMIENNICTWO WŁOSKIE.

(FILOZOFIA).

Elementi di psicologia (Zasady psychologii) *G. Sergi*. Messyna, str. 620 i 3 tablice.

W książce tej niema wcale mowy o istnieniu duszy; jest ona oparta wyłącznie na metodzie doświadczalnej, wykluczającej wszelkie kwestye metafizyczne. Wszędzie znajdujemy w niej fakty i prawa pozytywne, często niewyjaśnione jeszcze w zupełności, ale dające się zawsze sprawdzić i powtórzyć.

„Psychologia, mówi autor, zajmuje się zjawiskami organicznemi, których główną cechą jest świadomość funkcyj, powstających w ognisku nerwowem, i objawami, wynikającymi bezpośrednio ze zjawisk świadomości.“ To ostatnie zdanie zakreśla dosyć szeroką granicę badaniu organów zmysłowych i ośrodków nerwowych, którymi się Sergi zajmuje szczegółowo w ciągu całego swojego działania. Zjawiska fizyologiczne wspierają tu na każdym kroku i kontrolują psychologiczne.

Zjawiska te dzieli autor na trzy grupy, odpowiednio do tego, co dawniej nazywano władzami: myśli, uczucia i woli.

Objawy myśli porządkuje w dwa szeregi: 1) fakty odnoszące się do poznania i 2) do świadomości. Żaden fakt nie jest psychicznym, nie będąc do pewnego stopnia świadomym; wchodząc w sferę świadomości, staje się psychologicznym.

W badaniu mechanizmu poznania autor poświęca pierwszą księgę czuciu i spostrzeganiu, nie widząc pomiędzy niemi stanowczej różnicy. Dla niego odbieranie wrażeń jest już poniekąd spostrzeganiem, mianowicie jest odróżnianiem przymiotów i odnoszeniem ich do pewnej rzeczy zewnętrznej, stwierdzaniem jej związku z pewną grupą wrażeń pokrewnych. *Intensywność* jest własnością czucia jako siły, własnością, objawiającą się w potędze i wartości czucia. Z intensywnością łączy się *jakość* czucia, przez którą nadaje się forma psychiczna wrażeniom przychodzącym z zewnątrz, a która wypływa zarazem z budowy organów zmysłowych i ze sposobu, w jaki siła zewnętrzna działa na te organy. Pomijając trzecią właściwość czucia, która jest wrażeniem, oznaczającem czy rezultat jego jest korzystny lub szkodliwy dla indywiduum czującego, autor rozbiera różne wrażenia zmysłowe, odpowiednio do organów, za pośrednictwem których powstają, jako to: słuchu, wzroku, dotyku, smaku, węchu i czułości mięśni.

Rozdział następny traktuje o kwestyach ogólnych pojmowania. Dotykając stosunku naszych wrażeń zmysłowych do świata zewnętrznego, autor wysnuwa własną teoryę, którą rozwija potem szerzej w księdze drugiej, gdy mówiąc o poznaniu rozumowem, bada szczegółowiej idee przestrzeni i czasu. Jest to teorya *fali refleksu spostrzegawczego*.

Przetwór materyału zmysłowego przez ośrodki nerwowe stanowi przedmiot księgi drugiej. Znajdujemy tutaj anatomię owych ośrodków, oraz streszczenie wszystkiego, co wiadomo o ich działaniu na podstawie najznakomitszych prac Luysa, Lussana, Carpentera, Schiffa, Wundta i Ferriera.

Następnie autor przystępuje do ważnej sprawy tworzenia się i organizacyi pojęć. Od każdego wrażenia zmysłowego odrywamy małą liczbę cech wspólnych wszystkim indywiduom a cechy te oznaczone pewną nazwą lub znakiem tworzą pojęcie. Uogólniać zatem jest to dokonywać pewnego rodzaju analizy. Rezultat w ten sposób otrzymany nie jest już podobny do przedmiotu pojedyńczego, jest on wytworem czynności umysłowej, dokonywanej jedynie na materyale dostarczonym przez zmysły, który przetwarza i podnosi do wyżyn abstrakcyi. Analiza na tem się nie zatrzymuje, prowadzi się dalej na pojęciach; ona to czyni je powszechnemi.

Rozum dla p. Sergi nie jest przeto żadną magiczną siłą, którąby nas wprowadzała do świata nadzmysłowego, jakimś *Sezamem* metafizyki. Jest on tylko najwyższym stadyum myśli. Rozumowanie na podstawie podobieństw i różnic tworzy dwa rodzaje stosunków: jedne podobne, istniejące niezmiennie w danych przedmiotach, stanowią *typ*; drugie następujące po sobie łączą ruchy pojedyńcze z ich źródłem zasadniczem i stanowią *prawo*. Wszystkie te jednak stosunki odnoszą się zawsze do pewnej przestrzeni i pewnego czasu, albowiem nie mogą być pomyślane w jakiejś próżni pustej i są zawsze stosunkami *przedmiotów* realnych, takich, jakich dostarczyły wrażenia pierwotne. Rozdział ten kończy się najgłębszemi zagadnieniami umysłu ludzkiego, wartości nauki, sceptycyzmu i rozmaitych stopni rozwoju ducha ludzkości, wreszcie analizą pojęć przestrzeni i czasu. S. rozpatruje zjawiska zachowania i odtwarzania pojęć, ich kojarzenia i pamięci.

Dalej zajmuje się się zjawiskami uczuciowemi człowieka, bada naturę przyjemności i bólu, rozbiera główne teorye odnośne, porównywa uczucia ze względu na ich siłę i trwałość, wreszcie przedstawia rozwój uczuć w dziejach ludzkości. Cały osobny rozdział poświęcony jest uczuciom estetycznym, przyczynom podobania się i niepodobania estetycznego we wszystkich grupach wrażeń zmysłowych.

Nakoniec po uczuciach następuje wola. Spotykamy tu najprzód głębokie studyum nad warunkami fizyologicznymi woli, źródłami jej organicznemi. Autor daje tu na podstawie najnowszych badań objaśnienia o włóknach ruchowych, mięśniach, ich ruchach i odruchach. Wreszcie przychodzi do badania „początku i podstaw chcenia,“ rozbiera warunki jego bezpośrednie i kończy krytykę woli odderwanej. Według niego wola jest odpowiedzialna, albowiem jest określona myślą.

Taka jest treść tej bogatej w szczegóły książki. Jak widzimy, włosi bardzo poważnie uprawiają niwę filozofii w najnowszym jej kierunku—o czem my, niestety, bardzo mało wiemy.

Lo studio della storia della filosofia. *R. Ardigo*. Padwa. 1881, str. 48.

Jest to odczyt, wypowiedziany przez autora przy rozpoczęciu jego kursu tegorocznego, a wywieszający po raz pierwszy we włoskiem wychowaniu publicznem chorągiew filozofii pozytywnej. Dane, jakie przedstawia świadomość rzeczywista ludzkości, są trojakiego rodzaju: 1) prawa psychiczne oderwane, będące jakby wiecznym rytmem życia umysłowego, niezależnym zupełnie od działania czasu; 2) wspomnienia czyli przyrost zdobyty przez świadomość, odkąd ta poznała siebie i swoje dzieje; 3) dane przedhistoryczne, osiągnięte przed wszelką świadomością i pamięcią, stanowiące niedostrzegalne tło myśli.

Zostawiając na uboczu oderwane warunki powszechne działalności umysłowej, Ardigo przedstawia rozwój myśli w jej głównych zarysach. Zaznacza najprzód, że nauka nie jest stanem różnym od wiedzy zwanej powszednią. że jest ona tylko jej

dalszym ciągiem, że przeto początku jej szukać należy w pierwszym okresie formacyi umysłowej. w samem kiełkowaniu zdolności logicznych. Nauka nie jest niczem innem, jak tylko umysłem ludzkim z jego strony logicznej a jej formacya, która odbywa się bardzo powolnie, obejmuje tak olbrzymie okresy, że filozofia Thalesa uważaną być może już jako wielki rezultat długiej pracy, ostatnie zaś wywody nauki dzisiejszej są tylko zapowiedzią dalszego rozwoju niezmiernie bogatego, o czem mamy zaledwie przybliżone wyobrażenie. W rozwoju tym niema nic koniecznego, określony on został w swoich formach ogólnych i szczegółowych przez okoliczności, i gdyby te okoliczności były odmienne, i on byłby innym.

Filozofia jest tylko częścią owego rozwoju, tak jak dzieje ssących są tylko częścią historyi naturalnej. Wprawdzie stanowi ona jego gałęź najwyższą, skupia w sobie wszystkie niższe fazy życia umysłowego. Jest to wierzchołek, do którego dosięgnięcia nie są powołane ani wszystkie rasy, ani wszystkie osobniki ludów ucywilizowanych; każdy jednak umysł, który go dosięga, musi przejść stadya przygotowawcze i przedstawia żywy zwrot wszystkich przejawów najdalszych i najrozmaitszych działalności umysłowej.

Stąd wypływa ważność dziejów filozofii: 1) Dla nauki w ogóle; bo jeżeli wzajemna zależność wszystkich części wiedzy ludzkiej jest taka, że żadna z nich nie może uledz zmianie, nie oddziaławszy na inne, tem bardziej filozofia, zajmująca środek tego organizmu, musi przekształcać się z wiekami w miarę zmian w naukach ją otaczających i nadawać im nawzajem, lecz znacznie spotęgowany popęd, jaki od nich otrzymała. A nie trzeba zapominać, że to, co ulega zmianie, nie jest treścią umysłu nieruchomą, lecz umysłem samym, narzędziem świadomości, tak że każdy wielki ruch wiedzy ogólnej, każdy postęp nauki centralnej dodaje coś do potęgi umysłu ludzkiego: filozofowie genialni są w wielkiej pracowni nauki niejako robotnikami wynajdującymi machiny i tworzącymi narzędzia. 2) Dla filozofii samej: poglądy dzisiejsze wypływają nieprzerwanym ciągiem z dawniejszych; są one tymiż samymi poglądami, podniesionymi na wyższy stopień rozwoju; kreśląc tedy dzieje filozofii, odtwarzamy tylko świadomość idei organicznych i zasadniczych nauki.

Rozwój filozofii jednak nie odbywa się wcale przypadkowo, nie jest on „igraszką natury.“ W rozwoju form umysłowych, zarówno jak organizmów żyjących, natura jest zawsze poważna; prawa zaś myśli łatwiej się odsłaniają w systematach pierwotnych, aniżeli współczesnych, podobnie jak prawa życia w organizmach doświadczalnych, mimo całej ich dziwaczności.

Kończąc, Ardigo przedstawia na przykładzie szczegółowym, na dziejach *myśli*, proces koncentrowania stopniowego, jaki przedstawia formacya pojęć filozoficznych, i wykazuje, że bez znajomości tego procesu żadna poważna teorya myśli nie jest możebną.

Cz.

KORESPONDENCYA PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

Od lat już kilkudziesięciu literatura rosyjska przestała być niewolnicą tylko lub ślepą naśladowczynią obcych wzorów i wpływów, kolejno po sobie następujących, jak: bizantyjskiego, polskiego, niemieckiego, francuskiego i innych. Jej przedstawiciele w ojczyźnie własnej znaleźli obfite źródło natchnienia, zgłębili wszystkie tajniki życia rodzimego, odczuli wszystkie jego bóle i potrzeby, a ideały społeczeństwa przybrały kształt prawdziwy i często uroczy w utworach Puszkina, Gogola, Turgeniewa, Niekrasowa, hr. L. Tołstoja i innych. Nie zawsze wprawdzie życie narodowe, niezależnie nawet od talentu autora, mogło się odbić w dziełach literackich całą pełnią, gdyż dotąd zbyt często pisarz musi starannie omijać bardzo ważne sprawy, zapuszczać się tylko w krainę wyobraźni lub abstrakcyi, szukając tam pociechy, musi też uczyć się jeszcze szczególnego „ezopowego“ sposobu pisania. Od pewnego czasu jednak zamilkły potężne talenta. Żyjący a nawet nie bardzo jeszcze sędziwi pisarze wolą milczeć, aniżeli przemawiać do pokoleń, któreby ich nie zrozumiały i zrozumieć nie chciały. Życie w Rosyi upływa dziwnie jakoś szybko, starsze pokolenia tak mało mają wspólnego z młodszemi, że ludzie, rozdzieleni pomiędzy sobą tylko dziesięcioma laty, już się często nie pojmują. Nie o wszystkich zresztą da się to powiedzieć; najświetniejszym zaś wyjątkiem jest bez wątpienia znakomity satyryk rosyjski, jednakowo ubóstwiany przez starych i młodych. To też rzeczywiście on jeden może umie pochwycić całą duszą rozmaite tętna swego społeczeństwa, wszystkie drgnienia tego organizmu w walce z żywiołami różnorodnymi, jego dobre i złe siły, jego prawdy i nieprawdy. Najzmienniejsze, przed chwilą dopiero powstałe kierunki, prądy i uczucia społeczne są mu odrazu znane i odczute głęboko, brzmią w jego uszach nieraz tonem podniesionym do najwyższego prawie tragizmu, torturując niemal tych, na głowy których są skierowane, to znów spadając potokiem błota, potokiem słów grubych i cynicznych, ale zda się jedynych dla oddania miotających go uczuć i treści, dla odbicia tej złości tysiącznej i pogardy, która się zmieścić nie może w jego duszy a napełnia też dusze znacznej części słuchaczów. Szczególniej teraz rozchwytywane są jego artykuły, wychodzące pod tytułem: „Za rubieżom“ (za granicą). W nich daje się czuć najsilniej cała groza chwili obecnej, chwili, w której się zbiegło na raz tyle nikczemności, odezwało się tyle głosów „pluskiewników literackich“ —jak on się wyraża, obudziło się tyle najniższych instynktów. To też jemu nawet brakuje nieraz słów, zwykły język nie starczy. Czasem więc już nie mówi, ale tylko wydaje dźwięk, wzbudzający w czytelniku fizyczne wrażenie. Czytelnik zaś rozumie autora doskonale, jak rozumieli koledzy wykrzyknik pułkownika de Cambronne pod Waterloo...

W zeszycie majowym *Otieczestwiennych Zapisok*, kreśląc stan wewnętrzny rosyanina za granicą, uciekającego od samotności to jest od natrętnych myśli, niedających mu nigdy spokoju, szukającego zapomnienia w błogosławionem morzu drobnostek, w byle jakiem towarzystwie, przytacza między innemi sen bohatera, pod tytułem „Dyalog świni z prawdą.“ Tytuł ten zrozumialszym jest dla rosyjskiego czytelnika, mającego na myśli przysłowie: „Bóg nie dopuści— świnia nie zje.“ Słysząc rozmowę tej ostatniej z wystraszoną, bladą ledwie okrytą łachmanami „prawdą,“ widząc owo gryzienie towarzyszące jej rozmowie, a również zachowanie się otaczającej chlew publiczności, trzeba zwątpić o pocieszającem znaczeniu przysłowia. To też autor budząc się krzyczy: „zje, zje!“ Tak zje, i za to, że biedna prawda ośmieliła się twierdzić, iż jest słońce na niebie, chociaż go nie widać z chlewu, i że jest inna prawda, oprócz... W ostatnim artykule (*Otiecz. Zapiski* czerwiec) autor powiada: „W rezultacie ostatecznym zamięszania życiowe czasów ostatnich zdemoralizowały już nas do takiego stopnia, że każdy w czynach swoich i rozumowaniach kieruje się li tylko myślą o „skórze.“ Strach o nią, o dzień jutrzejszy — oto jest teza podstawowa, na której się opiera współczesny rosyanin; ale oczekiwanie nieokreślone ciągle grożącego niebezpieczeństwa pozbawia go nie tylko pragnienia jakiejbądź działalności, ale nawet chęci do życia...

„Instynkt skórny grozi unicestwieniem, jeżeli dotąd już nie unicestwił wszelkich instynktów życia... Posłuchajcie, jakie trele brzmią w rozmaitych „pluskiewnikach literackich,“ „myśleć już nawet nie wolno.., czy naprawdę pozostaniemy nadal z tymi ideałami godnymi chlewu? Ależ to swego rodzaju „kramoła;“ jest to „kramoła przeciwko obrazowi człowieka — podobieństwu bożemu, przeciwko wszystkiemu. czem się żyje i co najstraszniejsze; „kramoła to nie podziemna, lecz otwarcie, głośno rozpostarta.“

Przeciętnej jednostce społeczeństwa, odczuwającej na sobie okoliczności obecne, radzą dla uspokojenia cierpień dwa niepodobne do siebie środki: „Pocieszaj się historyą i żyj jedną myślą z ludem... Tak, istotnie, kiedy życie rzuca nam kamień zamiast chleba, mimowoli potrzeba szukać pociechy w historyi... ale człowiek przeciętny odpowiada: „co do mnie, czuję zawsze jedno tylko, to, że historya odziera mię ze skóry.“

„Co zaś do zjednoczenia się z ludem, to kwestya ta bodaj czy nie okrutniejsza jeszcze od sprawy pociech historycznych... Macie na celu świat błądzący w ciemności wezwać ku światłu, uzdrowić masy cierpiące i gniecione, lecz bywają takie chwile historyczne, kiedy ten świat i te masy pełne są ponurej nieufności, kiedy one same trwają w swym dziwnym uporze, pozostając w ciemności i chorobach. Stoją tak uparcie przy swojem nie dla tego, aby nie rozumiały światła i uzdrowienia, lecz dla tego, że nie wierzą w samo źródło tych darów. W takich chwilach można zbliżyć się do tego tarzającego się w ciemności świata nie inaczej, jak tylko po zanurzeniu się poprzednio w taką samą noc i zaraziwszy się trądem, który mu grozi zniszczeniem.“

I ten drugi środek niewiele więc ma powabu dla współczesnego rosyanina. Są jednak ludzie myślący inaczej, niewidzący trądu i z głęboką wiarą niosący w tej nocy swoją pochodnię. Łatwo się o tem przekonać, nie wychodząc z granic tych samych zeszytów dziennika, o których mówiliśmy i zajrzawszy do artykułów na pół belletrystycznych, na pół publicystycznych p. Złotowratskiego, noszących tytuł „Zarysy nastroju wiejskiego“ (*Oczerki Derewenskaho nastrojenija*). Pan Złotowratskij jest właściwie powieściopisarzem, ale uważając, że talent jego nie podołałby zadaniu odtworzenia obrazowej zmiany ideałów ludowych i życia, woli mniej artystyczną formę studyów i artykułów dziennikarskich. Znając przeszłość włościana (wielkoruskiego) pańszczyźnianego, p. Z. stara się zgłębić typy nowe, dzisiejsze, wywierające taki stanowczy wpływ na byt ludu, na ustrój rodzinny i gminny.

Znaczenie reformy włościańskiej było zpewnością wielkie, w ciągu ostatnich lat kilkunastu lud przeżył więcej, aniżeli w ciągu kilkuset poprzednich; to też proces psychiczny, odbywający się obecnie w tem „laboratoryum“ ogromnem, zasługuje rzeczywiście na najgłębszą uwagę. Reforma włościańska stworzyła odrazu kilkadziesiąt milionów „obywateli,“ kilkadziesiąt milionów wolnych jednostek, osobistości dotąd nie istniejących wcale, gdyż przygnębionych potrójnym despotyzmem: pana, patryarchy rodzinnego i gminy — włościańsko-fiskalnej. Reforma urzędowa uwolniła ich tylko z pod pierwszego z tych trzech ucisków; dwa zaś ostanie pozostawały nietknięte. Przewidzieć jednak było łatwo, że nowonarodzony osobnik walczy; poczuwszy rozwiązane ręce, nie zniesie pętów ciążących jeszcze na nim, zechce je zerwać. Tak też stało się rzeczywiście, a chociaż

proces ten trwa jeszcze dotychczas, zupełnością jednak powaga „starszych“ i gminy (miru) nie ostanie się w warunkach dzisiejszych.

Powaga „starszych,“ jak widać ze szkiców p. Z. była narażoną na pierwsze ciosy. Wśród „młodych“ wszędzie daje się widzieć chęć gospodarowania osobnego, osobnej chaty, rozdziału całego majątku. Napróżno „ojcowie“ starają się utrzymać przy dawnem prawie; groza ich włosów siwych i związków rodowych coraz bardziej pada pod napływem żywiołów nowych, często nawet samolubnych i odpychających, a natomiast zjawia się nowy majestat „rozsądnego człowieka“ — „umstwiennaho mużika,“— najczęściej przebywającego przez czas pewien po za granicami rodzinnej wioski, dla którego rzeczywiście niema zwykle nic świętego, prócz własnej osobistości i wygody. Te rodzinne starcia odpychające i krwawe nieraz przybierają barwy, ale w każdym razie są tylko logicznem następstwem stosunków uprzednich. Zdaniem p. Z. pierwszy ten akt procesu uwolnienia się jednostki z pod despotyzmu obyczajowego dziś już jest prawie skończony; drugi zato akt — wyjarzmienie się z pod nacisku gminy — nie dobiegł jeszcze do końca. Pomimo to, iż autor jest w ogólności zwolennikiem tej prastarej instytucyi i widzi w niej ważną rękojmię społeczną, czuje jednak potrzebę gruntownej reformy w jej ustroju i odrzucenia tych cech kancelaryjnych, które zrobiły z niej narzędzie fisku, dla tem łatwiejszego wybierania podatków, nie ułatwiając przytem wcale ciężaru życia jej członkom. Ustrój gminy dzisiejszej, składającej się z żywiołów niezmiernie różnolitych pod względem psychicznym i ekonomicznym, nie może dłużej się utrzymać; dawniejsza zgoda tradycyjna i powszechne uszanowanie dla gromady — „miru“ oddawna już stało się mitem tylko, a nowi ludzie „rozsądni“ dbają o siebie tylko, nie troszcząc się wcale o różnolitą gromadę. Sama zasada jednak gminna, współkowa, trwa zawsze w umyśle włościanina, przybiera wszakże nowe formy. Coraz to jaśniej spostrzegamy pewne grupowanie się żywiołów gminnych, wydzielenie się i łączenie pokrewnych jednostek. Zamożniejsi, wyzyskiwacze, noszący miano „kułaków,“ stanowią zwykle partyę jedną, działają wspólnemi siłami, mają interesy wspólne. To samo da się powiedzieć o ludziach średniej zamożności i biednych. Strona psychiczna wielką też tu gra rolę i teraz już można wyróżnić w gminie trzy główne typy: — dobrodusznego, wiarołomnego, buntowniczego i pijanego proletaryusza, nieznającego żadnych przepisów; rozsądnego, gospodarczego chłopa średniej zamożności i surowego, trzeźwego, wytrwałego i podstępnego wyzyskiwacza — kułaka. Trzy te typy działają w gminie każdy w swoim zakresie i przygotowują grunt dla nowej reformy administracyjnej, która ma się uskutecznić pod postacią zbliżoną do gminy w Królestwie Polskiem.

Artykuły Szczedryna i Złotowratskiego, a także p. Gleba Uspienskiego, zawierające w sobie także studya nad ludem, stanowią główną ozdobę *Otieczestwiennych Zapisok* w ciągu ubiegłych miesięcy. Wogóle zaś lato daje się już spostrzegać na stronnicach czasopism, koloryt ich coraz to bledszy, jesienią dopiero zaczną się ukazywać ciekawsze rzeczy. Krytyka rosyjska jednogłośnie podnosi przełożone utwory młodszych beletrystów polskich, p. Orzeszkowej, Sienkiewicza i Wł. Okońskiego, ciesząc się z odkrycia tej świeżej a prawdziwie obfitej i zdrowej Ameryki, jak się wyraził jeden z krytyków petersburskich.

Zapowiedziany dziennik, wydawany przez p. W. Korsza pod tytułem *Zagraniczny Wiestnik*, zamierza wprowadzić u siebie obszerny i stały dział polski—przeglądów literacko-naukowych i przekładów.

R.

DZIAŁANIE ŚWIATŁA ELEKTRYCZNEGO NA ROŚLINNOŚĆ.

W obecnej chwili najważniejszem może zadaniem dla przyrodników jest znalezienie sztucznego sposobu robienia tych wszystkich ciał, naśladowania tych wszystkich zjawisk, które przyroda w swej wielkiej pracowni, zwanem „światem,“ z tak wielką łatwością wykonywa.

Chodzi tu o dokładne poznanie i sztuczne potem odtworzenie warunków, których dostarcza sama natura.

Do niedawnego czasu sądzono, że wszystkie ciała pochodzenia organicznego, powstające w istotach żyjących, są zupełnie niemożliwe do sztucznego odtworzenia. Dziś panuje zupełnie inne przekonanie. Dość przytoczyć słowa jednego z najznakomitszych pracowników chemii organicznej, Berthelota, którego uważać można słusznie za twórcę syntezy chemicznej. Powiada on, że „możemy obecnie dążyć do odtworzenia wszystkich ciał, które się ukazały od początku rzeczy, do utworzenia ich w tych samych warunkach i na mocy tych samych praw oraz tych samych sił, które przyroda do ich wytworzenia używała.“

Jest to jedna z najważniejszych zdobyczy naszego wieku.

W całem życiu na kuli ziemskiej najpierwszą rolę odgrywa słońce, gwiazda dzienna, przyspieszająca zamianę materyi, bez której nie byłoby istot żyjących.

Najwidoczniejszą jest rola, jaką słońce odgrywa przy rozwoju roślin. „Rośliny są to istoty utkane z powietrza przez słońce,“ jak się poetycznie wyraża Moleschott. Bez udziału jego jasnych promieni nie powstałby barwnik, dający kolor liściom roślin, a zwany chlorofilem. A bez tego chlorofilu niema naturalnego rozwoju; on to bowiem przy pomocy słońca osadza w tkance roślinnej węgiel, z kwasu węglowego, unoszącego się w powietrzu. Jest to fakt stwierdzony nadzwyczaj licznemi doświadczeniami.

Jednakże w jaki sposób to się dzieje, jak następują zmiany drobinowe, tego nie zdołano jeszcze dokładnie poznać; jest to zadanie przyszłości.

Słońce więc jest warunkiem naturalnym i koniecznym. Lecz jeśli tyle rzeczy naturalnych zdołano zastąpić drogą sztuczną, czyż nie można by znaleźć sposobu na zastąpienie słońca? Próbowano to uczynić rozmaitemi drogami. Pierwszym był Hervé-Mangon, który używał światła elektrycznego i wykazał, że przy jego promieniach wytwarza się chlorofil, skrobia i celluloza w roślinach, podobnie jak przy działaniu promieni słonecznych. Skonstatował on wydzielanie się tlenu z roślin wystawionych na oświetlenie elektryczne, co było oczywistym dowodem rozkładu kwasu węglowego.

Od tego czasu powtarzano liczne próby, a najważniejszą z nich jest ta, którą w większych rozmiarach przeprowadził Siemens, znany angielski uczony, i z której niedawno zdał sprawę w londyńskiej Royal-Society.

Miejscem prób było Sherwood, gdzie użyto do badania wpływu światła elektrycznego na rośliny, cieplarni melonowej. Posadzono tam rośliny, odznaczające się szybkim rozrostem, jak: gorczycę, marchew, fasolę, ogórki.

Lampa elektryczna umieszona była u góry, nad szkłem cieplarni. Siła jej światła wyrównywała 1.400 świecom. Do wytworzenia takiego ogniska użyto machiny dynamoelektrycznej Siemensa, spotrzebowującej na wytworzenie odpowiedniego prądu siłę 3-ch koni parowych.

Żeby można było z prób wyciągnąć stanowcze i rozstrzygające wnioski, podzielono rośliny poddane badaniu na cztery grupy.

1) Rośliny, które przez cały czas doświadczeń mają pozostać w ciemności;

2) które będą wystawione jedynie tylko na działanie światła elektrycznego;

3) na które mają działać tylko promienie słoneczne;

4) na które dniem padać będą promienie słońca, a nocą — lampy elektrycznej.

Pierwsze próby zrobione były w takich warukach, że regulator elektryczny świecił codziennie po 6 godzin, od 5-tej do 11-ej po południu.

Rezultat był następujący

Pierwsza grupa roślin, hodowanych w ciemności, prędko zamierała, wydając drobne, delikatne, bladożółte łodyżki. Rośliny, na które padało tylko światło elektryczne, należące do grupy drugiej, okazały bardzo dobre przystosowanie się do światła elektrycznego, gdyż były zdrowe, jędrne i miały dość ciemną barwę zieloną. W każdym jednak razie lepiej wyglądały rośliny, które tylko samo słońce oświetlało, były bowiem jeszcze silniejsze i jędrniejsze.

Lecz ze wszystkich najpiękniej się rozwinęły te, które w rozwoju swoim nie miały spoczynku ani dniem ani nocą, bo słońce dzienne zostało wieczorem zastąpione elektrycznem. Otrzymano wtedy rośliny krzepkie, mocno zielone, zupełnie zdrowe i najbliższe ze wszystkich zupełnego swego rozwoju.

Jest w tem jasny dowód, jak działanie promieni światła elektrycznego może skutecznie wspierać pracę, rozpoczętą za dnia przez słońce.

Później robiono doświadczenia jeszcze w szerszym zakresie i utrzymywano światło elektryczne przez 11 godzin nocy, dochodząc do zupełnie podobnych rezultatów, tylko w rozmiarach daleko wyraźniej rzecz całą przedstawiających.

Z prób tych wynika, że spokój nocny nie jest wcale potrzebnym dla roślin i że bez niego mogą się one obejść, nie cierpiąc wcale na zdrowym rozwoju.

Rzecz to zresztą dowiedziona, gdy chodzi o światło słoneczne.

Dr. Schübeler z Chrystyanii wykazał, że ciągłe działanie słońca nie szkodzi roślinom, ale owszem przyczynia się do wytwarzania piękniejszych i barwniejszych kwiatów, bardziej aromatycznych i soczystych owoców. Przyroda sama, na dalekiej północy, daje przykład takiego ciągłego działania słońca. Latem dzień się tam prawie nie kończy; to też rośliny rozwijają się, rosną, kwitną a owoce dojrzewają z nadzwyczajną szybkością. Zdawałoby się, że świat roślinny spieszy do swego kresu, mając tylko bardzo krótkie lato do rozporządzenia.

Dr. Siemens, na posiedzeniu Royal Society, okazywał doświadczalnie, jak silny jest wpływ elektryczności na rozwój kwiatów, umieściwszy pączek tulipanu i róży, w pobliżu silnego ogniska elektrycznego. Dla sprowadzenia rozkwitu światło elektryczne jest bardzo skuteczne. Po niedługim czasie kielichy w oczach widzów zupełnie się rozwinęły. Ściślej rzeczy biorąc, nie były to pączki, lecz właściwie zamknięte kwiaty, które tylko potrzebowały się otworzyć. A wiadomo, z jak wielką łatwością to następuje. Nie potrzeba do tego nawet światła elektrycznego. Samo ciepło wystarcza.

Nie możemy teraz jeszcze przesądzać o praktycznej doniosłości doświadczeń Siemensa. Może jego sposób przyspieszenia rozwoju roślin da się zastosować na większą skalę w cieplarniach, inspektach i t.p. Czy takie „elektryczne“ ogrodownictwo opłaci się, o tem przyszłość rozstrzygnie.

B. O.

MASZYNA DO STENOGRAFOWANIA.

Głównem dążeniem wynalazców, pracujących w dziedzinie mechaniki, jest znalezienie sposobów zastąpienia pracy ręcznej, zmudnej i wymagającej wielkiej wprawy, pracą maszyn, któreby to samo wykonywały szybciej i dokładniej. Pojawiło się w naszym wieku, szczególnie w ostatnich lat dziesiątkach, mnóstwo tego rodzaju przyrządów, z których największego może rozpowszechnienia doczekały się maszyny do szycia.

Gdzie idzie o szybkość pracy, tam ręka ludzka nigdy z maszyną nie może stanąć do współzawodnictwa.

A gdzież szybkość potrzebniejsza, niż przy stenografii, przy notowaniu dokładnem wszystkich słów, wybiegających nieraz rwącym potokiem z ust zapalonego mówcy?

Radzono sobie dotąd upraszczaniem znaków używanych do pisma, tworzeniem liter łączących się dogodnie, co stanowi istotę stenografii; lecz nie zapomniano także o zastosowaniu środków mechanicznych, któreby mogły pracę rąk skutecznie wspierać i przyspieszać.

O jednym z przyrządów służących ku temu celowi, z którym odbywano niedawno w Paryżu próby, podamy niektóre szczegóły, przyjrzawszy się poprzednio tej sprawie ze stanowiska bardziej ogólnego.

Jaki przyrząd byłby do stenografowania najodpowiedniejszym? Oczywiście taki, który bez niczyjego pośrednictwa, sam zdołałby notować słowa mówcy, utrwalając wyraźnie dźwięki, wychodzące podczas mówienia z ust jego.

Przyrząd podobny posiadamy od lat kilku, chociaż nie można go polecić jako praktyczny i odpowiedni.

Fonograf Edisona jest właściwie taką maszyną do stenografowania i gdyby potrafiono go ulepszyć, stałby się najdoskonalszym ku temu celowi przyrządem.

Na arkuszu cynfolii, albo też blachy miedzianej, notuje on wszystkie drgania ludzkiej mowy, a potem można wszystkie zanotowane dźwięki napowrót wywołać. Jest to jeden z najcudowniejszych i najgenialszych przyrządów, uderzających przedewszystkiem zadziwiającą prostotą.

A jednak do stenografowania nie nadaje się wcale. Żeby słowa były dobrze zapisane, trzeba mówić głośno, przytykając prawie usta do otworu fonografu. Tego w parlamentach nie można wymagać. A w dodatku powtarzanie głosu nie odbywa się dokładnie. Jedne sylaby wychodzą dobrze, inne niewyraźnie, niektórych liter, jak np. s, f, nie słychać prawie wcale.

Fonograf nie ma jeszcze dotąd żadnego praktycznego zastosowania, mimo że się tak świetnie zapowiadał i takie w nim pokładano nadzieje. Od czterech lat, jak został wynaleziony, nie zrobiono żadnych stanowczych ulepszeń, mimo że poświęcano się pracy nad nim we wszystkich stronach świata. Jest on niezwykle pouczającym i zajmującym przyrządem w gabinetach fizycznych i niczem więcej.

Rzecz dziwna, że przyrząd, wynaleziony i zbudowany przez Edisona w kilku dniach, tak niespodziewany co do swego pomysłu, odkrywający zupełnie nowe pole badań, tak wydający się łatwym do ulepszeń na pierwszy rzut oka, nie postąpił ani o krok naprzód.

Nie należy jednak przesądzać przyszłości, i bez wątpienia, gdyby można było zrobić fonograf czulszym na działanie dźwięków, wyraźniejszym w ich powtarzaniu, stanowiłby on idealną maszynę do stenografowania, zapisującą nietylko same słowa, ale przechowującą nawet głos osoby mówiącej. Więcej już nie można byłoby niczego wymagać, jak tylko chyba, żeby przechowywał i powtarzał na zawołanie gesty i wyraz twarzy mówcy!

Tymczasem zadawalać się musimy przyrządami mniej doskonałej budowy. Jeszcze na wystawie powszechnej w r. 1878 debiutowała maszyna stenograficzna włoskiego wynalazcy An. Michelego, którą niejednokrotnie widzieliśmy działającą wobec publiczności pod działaniem palców córki wynalazcy.

Od tego czasu maszyna Michelego robiła postępy w praktyce i dziś już senat włoski używa jej wyłącznie w celu stenografowania rozpraw parlamentarnych, a przed kilku tygodniami robiono z nią próbę przed komisyą paryskiej izby deputowanych.

Maszyna ta nie działa automatycznie, lecz do używania jej potrzebnym jest współudział rąk wprawnych, grających na klawiaturze, złożonej z dwudziestu klawiszy.

Charakterystyczną cechą aparatu Michelego jest to, że nie zapisuje on ani liter, ani sylab we właściwem znaczeniu tego słowa, lecz jedynie tylko dźwięki fonetyczne, jakie przy mówieniu dochodzą do ucha osoby grającej na klawiszach. Każdy taki dźwięk potrzebuje uderzenia na raz kilku klawiszy, z których każdy niesie na końcu osoby znaczek, odbijający się za pociśnięciem na pasku papierowym, który się automatycznie z wałka rozwija. Stenograf grający na przyrządzie tego rodzaju uważa na dźwięki mowy i rozkładając je na składniki fonetyczne, co po pewnej wprawie z nader wielką szybkością następuje, uderza palcami odpowiednie klawisze. Gra właściwie ciągle akordami.

Maszyna Michelego ma wielką zaletę, że jest ogólną, to jest, że się zastosowywać daje do wszystkich języków. Nie notuje ona bowiem wcale ortograficznego rozkładu spółgłosek i samogłosek w sylabach, ale tylko same dźwięki zasadnicze, które się wszędzie powtarzają. Kto się na przyrządzie Michelego nauczył stenografować jakąkolwiek inną mowę, ten już potem może notować każdą inną, zupełnie newet dlań niezrozumiałą. Odbywa się to oczywiście kosztem dokładności, gdyż daleko trudniej jest pochwycić dźwięki mowy, której wcale nie znamy.

Ilość słów, które oratorowie wypowiadają w ciągu jednej minuty, gdy są w toku mówienia, waha się między ośmdziesięcioma a stu ośmdziesięcioma. Za pomocą przyrządu Michelego dobrze wyuczony manipulator może zanotować słów dwieście, a więc aż nad potrzebę użytku parlamentarnego.

Nadto aparat taki mechaniczny daje się łatwo zastosować do przenoszenia depesz stenografowanych na znaczne odległości; trzeba tylko użyć do pomocy prądu elektrycznego i drutów. Klawiatura może się znajdować w sali rozpraw, a przyrząd odbijający znaki w drukarni jakiegokolwiek oddalonego dziennika, w pobliżu zecera, umiejącego odczytywać te znaki, więc będzie on w stanie składać do druku mowę natychmiast po jej wypowiedzeniu, a nawet częściowo w czasie jej trwania.

W każdym jednak razie przyrząd Michelego nie jest ostatnim wyrazem maszyn do stenografowania i wynalazcy mają jeszcze obszerne pole do robienia ulepszeń.

B. A.

TEATR.

Pani Podkomorzyna, komedya w 4-ch aktach Kazimierza Zalewskiego, przedstawiona po raz pierwszy w Teatrze Letnim. — *Błędne ogniki*, obraz ludowy w 4-ch aktach p. Staszczyka, przedstawiony w teatrze Alhambra przez Towarzystwo p. Puchniewskiego. *Efemerydy.*

Jest to rzeczą bardzo naturalną, że u nas szczególnem powodzeniem cieszą się utwory, uwydatniające cechy swojskie. W sztuce i literaturze treść ogólno ludzka ustępować musi często na drugi plan, wobec zamiłowania do przedmiotów narodowych, które odpowiada skierowaniu życia społecznego, podsycanego instynktem zachowawczym. Ten charakter gustu powszechnego zapewnił wartość bieżącą i powodzenie nowej komedyi p. Kazimierza Zalewskiego *Pani Podkomorzyna*, w której na tle epoki stanisławowskiej autor przedstawia dzieje miłosne dwóch serc, rozłączonych przez wypadki a połączonych potem przez szczęście. Nie będziemy bliżej charakteryzowali treści sztuki, gdyż nie zawiera ona w sobie szerszej doniosłości, ogólno społecznej lub dziejowej, ani tendencyjnego znaczenia. Autorowi nie chodziło bynajmniej o stworzenie jakiegoś obrazu, uwydatniającego przeciwieństwa dziejowe, przejętego myślą społeczną czy historyozoficzną, a więc z tego punktu sądzić jego sztukę byłoby to narzucać obce jej intencye. *Pani Podkomorzyna* jest tedy poprostu zręcznie i efektownie dramatyzowaną nowellą, w której widzimy, jak młoda, uboga szlachcianka, ulegając wpływom rodziny, idzie za bogatego starca Podkomorzego i wyrzeka się miłości dla biednego krewniaka, jak następnie po kilku latach zostawszy wdową, wierna pierwotnemu uczuciu, rozrywa sprytną intrygą zamierzone małżeństwo dawnego wielbiciela a nareszcie ratuje ukochanego, który z rozpaczy zapisał się jako rekrut do pruskiego wojska.

Taki jest szkielet pomysłu komedyi, który pozwolił autorowi przenieść widownię sztuki ze szlacheckiego dworu do salonów warszawskich a następnie nad granicę pruską do Drahimia, gdzie toczy się bójka o wyzwolenie bohatera. To przenoszenie pola działania daje autorowi sposobność rozwinięcia wcale malowniczej panoramy scen i stosunków, oraz osiągnięcia ponętnych dla widza efektów scenicznych, jak polonez i uroczystość weselna, a zwłaszcza kończąca sztukę utarczka z pruskimi werbownikami. Pan Zalewski, jako pisarz sceniczny, posiada sekret trafiania do gustu publiczności naszej i zręczność wyzyskania swych pomysłów. W ostatniej komedyi nagrodził on niezbyt bogatą, chociaż zgrabnie pomyślaną treść bajki efektownem traktowaniem pierwszego i ostatniego aktu, a zwłaszcza epilogiem, w którym ukazał rejteradę pruskich napastników. Pomysł tu oparty na wrażeniu zewnętrznem, działającym dowodnie na nerwy, ale pod względem scenicznym bardzo zręczny i wyzyskany z wprawą biegłego technika. W budowie *całości* autor okazał się mniej pomysłowym, aniżeli w innych swych utworach; chwilami prowadzi wątek sztuki zbyt leniwo, skupiając efekt i ruch w pewnych jej momentach. Rzecz jasna, że wartość podobnego utworu polega głównie na zaletach roboty scenicznej i literackiej. Jako dramatyzowana nowella, utwór p. Z. posiada dobrą charakterystykę kilku głównych postaci, trzymaną w tonie zwykłej realnej wyrazistości, ma pewne rysy obyczajowe epoki, której szerszego widnokręgu autor nie myślał wcale odbijać, a nareszcie pod względem językowym cechuje go pewien koloryt charakterystyczny polski dobrze utrzymany. W szczegółach dadzą się wytknąć pewne przewlekłości, brak postaci nieoddychających wyższym stopniem humoru albo dosadniejszem skupieniem charakterystyki typowej. Od początku do końca trzymał się w lekkim tonie komedyi, potrącając czasem tylko o żywe struny liryki. Poparta świetną wystawą i bardzo dobrą grą komedya p. Zalewskiego zyskała powodzenie. W roli tytułowej panna Wisnowska, chociaż nie miała dość artyzmu, aby opanować wszystkie jej trudności i odcienia, jednakże grała miejscami inteligentnie i zręcznie. Krewką postać głównego bohatera dobrze a częściowo świetnie uwydatnił p. Tatarkiewicz. Komiczno poważnym kasztelanem był p. Ostrowski a p. Rapacki jako rezydent

Wizgunt stworzył jedną z najlepszych swych charakterystycznych kreacyj, postać żywą, skończoną i opracowaną nader misternie.

Niezależnie od różnicy tematu i sfery działania, tym samym przyczynom winna powodzenie swoje sztuka ludowa p. Staszczyka *Błędne ogniki*, słabsza jednak pod względem scenicznym i artystycznym. Tego rodzaju utwory poruszają struny sympatyczne serc słuchaczy i podobają się także dzięki odrębnościom etnograficznym, w sposób malowniczy odzwierciedlonym. Wobec wzrastającego w kołach inteligencyi naszej zajęcia się kwestyami dobrobytu i oświaty naszego ludu, nic dziwnego, że sztuki tego rodzaju budzą żywy oddźwięk w słuchaczach, tembardziej, że nowsi autorowie wyszli z zaczarowanego koła dawnej rutyny, malują szerzej i swobodniej stosunki wiejskie, które w skutek ostatnich przewrotów społecznych stały się bogatsze i rozmaitsze. Zwłaszcza stosunki galicyjskie, nadające się do pełnej i bardziej wielostronnej charakterystyki, stanowią bogate źródło dla sztuk ludowych, zwłaszcza że obyczajowa strona życia wiejskiego dostarcza wiele malowniczego żywiołu do zewnętrznych efektów scenicznych. Utwór p. Staszczyka ma tę wadę, że nie przynosi nam nic nowego w porównaniu z już istniejącymi. Te same lub podobne motywy akcyi, te same postacie, większy niż w innych sztukach nawał tańców i śpiewów, ten sam splot melodramatyczności z komizmem, ta sama robota realna, obrachowana na dosadne efekty, to samo wreszcie co i w *Nocy Świętojańskiej* nadużywanie sprężyn pobożnych, modlitewnych, i rozwiązywanie sztuki za pomocą nagłego nawracania się grzeszników.

Ten ostatni motyw p. Staszczyk dwukrotnie powtarza wbrew psychicznej logice, ukazując na duszy bohatera wpływ poczucia religijnego. Gdyby tak łatwo odgłos dzwonka i widok krzyża działał na zbrodniarzy i łotrów, jak się to dzieje w sztukach p. Staszczyka, to oddawna wioski nasze przybrałyby postać arkadyjską, karczmy przeszłyby do mitologii a więzienia stałyby pustkami. W sztukach ludowych bezwątpienia poczucie religijne ukazywać się powinno wybitnie, jako jeden z ważnych składowych części moralnego rdzenia ludu, będącego na niższym poziomie umysłowego rozwoju; ale w utworach p. Staszczyka i jego kolegów występuje ono nadto ostentacyjnie, teatralnie, nie jest prostą i szczerą wiarą, raczej aparatem, służącym do wywołania efektu. Obok tego autor okazał w tym utworze wielką znajomość życia ludowego, a chociaż wprowadził figury nie nowe, jednakże kilka scen (aktu 2 i 4) nakreślił żywo i świeżo a w szczegółach wykazał chwilami szczęśliwą obserwacyę. Sztuka wogóle zbudowana nieskładnie, opracowana bez zręczności i artyzmu, zdradza w piszącym wielkie braki literackiego wyrobienia przy widocznym talencie intuicyi, które odpowiednio skierowany mógłby stworzyć rzeczy lebszej artystycznej wartości. Na scenie dzięki kilku ustępom jaskrawym zewnętrznym, sztuka miała powodzenie i zapewne utrzyma się dłużej w repertuarze letnich teatrzyków, tembardziej, że grano ją wogóle z werwą i starannością a tańczono zamaszyście. Z pomiędzy artystów na wyróżnienie zasługują panie Szymborska, Siedlecka; panowie Siedlecki, Józefowicz i Szymborski.

W ostatnich czasach pojawiło się w letnich teatrzykach kilka efemeryd okolicznościowych, jak: *Pan Marcin na wystawie koni*, *W wagonie 1-szej klasy*, które zaledwie godne są wzmianki, należąc całkowicie do sfery tuzinkowej humorystyki. Wyrodziła się tylko wśród nich farsa St. Dobrzańskiego, *Złoty cielec*, pełna humoru i pomysłowości facecya sceniczna, obfitująca w komiczne niespodzianki i koncepty zdolne rozśmieszyć najbardziej zapamiętałego hypokondryka. Artyści Alhambry grali ją żwawo i ruchliwie.

S. K.

LIBERUM VETO.

Czy p. Lucylla śpi czy udaje. — Opozycya pp. Sulimierskiego i Wolberga. — Jedna prawda w dwu odmiennych postaciach. — Niecierpliwość p. Wolberga i świadectwo Mucyusza Scewoli. — Sprzeczności. — W czem kwestya,—Dr. Gepner. — Wnioski. — Potrzeba *Przyrody i Przemysłu*. — Spóstrzeżenie pewnego młodzieńca. Gawrony i trznadle. — Kwesta dla biednego nauczyciela. — Bułanek. — Lombardy prywatne. — Hojność p. Landau. — Cesya na korzyść Szmerka. — Zakończenie sprawy międzynarodowej. — Nadzieja co do nowego kodeksu.

Ostrzegam czytelnika, że upadek *Przyrody i Przemysłu* wcale nie dowodzi, ażebyśmy nie posiadali obfitej gromady naturalistów i publiczności chętnej ich słuchać. Dowodem wielce w prasie ożywione spory o to: czy p. Donato jest kuglarzem czy hypnotyzerem, czy p. Lucylla śpi, czy udaje. Po uniesieniach na cześć tej „cudownej“ pary nastąpiły gwałtowne rozczarowania, którym przewodniczą pp. Sulimierski i Wolberg. Ponieważ pierwszy wyznał, że się na hypnotyzmie nie zna i tylko sztuki p. Lucylli sądzi chłopskim rozumem, więc jego listy publiczne pomijamy, tembardziej, że jedynej w nich „niezawodnej, doświadczeniem stwierdzonej prawdzie przyrodniczej“ — według której „zarówno psychiczne jak fizyczne organa człowieka *oswajają się* zczasem z każdym wpływem i zwolna mu *ulegać przestają*“ — solidarny w opozycyi p. Wolberg przeciwstawia inną prawdę, odkrytą przez Heidenheina, według której „wrażliwość osobnika w miarę przyzwyczajenia się (do hypnotyzacyi) *wzrasta*.“ Co do jego wywodów, najbardziej je charakteryzuje i określa na stępujący wykrzyk po przedstawieniu p. Donato w Towarzystwie Lekarskiem: „wyszedłem *zupełnie* zawiedziony, tembardziej, że ze strony *naukowej* nie uczyniono na owem posiedzeniu *nic* takiego, coby mogło dokładnie zbadać istotę rzeczy.“ Więc chociaż w Tow. Lekarskiem, gdzie jedynie można było sprawdzić naukowo stan p. Lucylli, nie osiągnięto żadnego przekonywającego dowodu a p. Wolberg tylko tam ją „badał,“ wyszedł jednak „zupełnie zawiedziony“ a nawet wywnioskował stanowczo, że p. Donato z panną Lucyllą oszukują publiczność. Pospieszność tego wnioskowania jest równie może zdumiewającą, jak cuda p. Donato. Rozumiem ludzi, którzy otworzywszy naiwnie usta podziwiają kuglarstwo i wierzą mu, lub takich, którzy nie umiejąc go przeniknąć, kręcą jednak sceptycznie głowami — jeżeli ci ludzie robią to dla własnego użytku. Ale daleko trudniej mi pojąć uczonych lub tak zwanych specyalistów, którzy wydają wyroki uznania lub potępienia w ostatecznej instancyi na podstawie wczoraj przeczytanej broszury, popartej kilkoma doraźnemi spostrzeżeniami. Sprawdzenie takiego zjawiska, jak sen hipnotyczny, jest niemożliwem bez dokonania ścisłych prób doświadczalnych. Czuł to dobrze p. Wolberg, skarżąc się na Tow. Lekarskie, ale nie czuł potrzeby zawieszenia swego sądu do chwili zyskania dowodów i poprzestał — mówiąc językiem prawnym — na samych poszlakach. To też cała jego filipika, w której biedny, prawdopodobnie nigdy nieistniejący Mucyusz Scevola musiał świadczyć przeciwko p. Donato, jest może pożytecznem dla łatwowierności ostrzeżeniem, ale na szali naukowej nie zaważyła nawet ciężarem włosa. Jej autor w polemicznym zapale nietylko źle przedstawił jedyne doświadczenie naukowe, o którem wspomnę niżej, ale nawet wpadł w zabójcze dla swego wystąpienia sprzeczności. Bo naprzód jeżeli p. Donato jest tylko kuglarzem, omamiającym publiczność dla wyłudzenia pieniędzy, po co Tow. Lekarskie ma badać p. Lucyllę? Czy ono jest od tego, ażeby demaskować wydrwigroszów? Powtóre, jeżeli p. Lucylla udaje, czy sama jej zdolność takiego udawania nie stanowi bardzo ciekawego przedmiotu dla nauki? Cokolwiek by p. Wolberg powiedział o mniemanej katalepsyi p. Lucylli, przyznać musi, że sam sztucznie w stan taki siebie by nie wprowadził. Widzieliśmy zesztywnienie tej dziewczyny; bez względu na to, czy ono było naturalnem, czy udanem, było rzeczywistem i tak zupełnem, że żaden z widzów czegoś podobnego by nie dokonał. Wiadomo, że rozmaitego rodzaju fanatycy ciągłem udawaniem wytwarzają w swym organizmie szczególne stany, które dla badacza przedstawiają szereg bardzo ciekawych i pouczających zjawisk. Gdyby Preyerowi lub Heidenheinowi przedstawiono najobłudniejszego derwisza, niezawodnie zająłiby się nim uważnie, chociażby nawet byli przekonani, że się odurza sztucznie. Kwestya więc przedstawień p. Donato polegała nietylko w pytaniu: czy p. Lucylla udaje, czy nie udaje, ale także w tem: jeśli udaje, jakim sposobem wywołuje w sobie pozory hypnotyzmu, czem one właściwie są? Ani Tow. Lekarskie, które widocznie rozstrzyga tylko wyższe zagadnienia, ani p. Wolberg, który przy węzłach gordyjskich jest zwolennikiem metody Aleksandra W-o, nie zwróciła na to uwagi i przesądzili rzecz najzupełniej im nieznaną. Zamiast badania doświadczalnego poprzestali na obserwacyi powierzchownej, która dostarczyła im kilku trafnych spostrzeżeń, ale nie rozwiązała zagadki zasadniczo. Znalazł się w licznem gronie przeróżnych znawców i specyalistów jeden tylko człowiek, który przystąpił do rzeczy naukowo i zdobył fakt zastanawiający. Tym unikatem był dr. Gepner, który rzuciwszy odpowiednim przyrządem światło w źrenice p. Lucylli, przekonał się, że one nie oddziaływały, t. j. nie uległy, jak powinny, silnemu skurczowi. Nie twierdzę, ażeby to był dowód decydujący, ale był zdobyty naukowo, i gdyby podobnych zyskano więcej, wiedzielibyśmy niezawodnie, czy p. Donato rzeczywiście hypnotyzuje p. Lucyllę, czy też nie.

Zwiążmy nasze rozumowanie we wnioski:

1) z mnóstwa znawców i specyalistów nikt nie próbował zbadać p. Lucylli naukowo prócz d-ra Gepnera.

2) czy p. Donato hypnotyzuje, czy wraz ze swą towarzyszką tumani publiczność, nie wiemy, pomimo wszystkich listów publicznych p. Wolberga.

I mnie bierze chęć wyznać, że przedstawienia w Ratuszu są podejrzane, proszę jednak czytelnika, ażeby wyznaniu temu nie wierzył, dopóki ono nie zostanie poparte ścisłem doświadczeniem, na które, do licha, ktoś w Warszawie powinien się zdobyć. Tymczasem w całej tej sprawie wydaje mi się prawdą niezbitą, że świeżo zmarły tygodnik *Przyroda i Przemysł* trochę był nam potrzebnym. Jeżeli zaś nie zmartwychwstanie, będziemy mieli niedługo tylu „specyalistów,“ że każdy przechodzeń ujrzawszy na niebie ukazującą się co kilkaset lat kometę, powie z dumą: to moja stara znajoma. Niema świata naukowego, któremu by tak trudno było, jak naszemu, przyznać się do niewiadomości, jednej z najszlachetniejszych cnót ludzkich. Znam pewnego młodzieńca, który niedawno od reporteryi zaawansował do sprawozdań z dzieł przyrodniczych i filologicznych, trawionego żądzą zabrania głosu w sprawie Lucylli i Donata. Musiałem użyć wszelkich sił, ażeby go odwieść od tego niebezpiecznego zamiaru, którego spełnienie zbogaciłoby nowym przyczynkiem literaturę ratuszowych przedstawień. Młodzieniec ów

całą teoryę swej niewiary opiera na tem spostrzeżeniu, że p. Lucylla w czasie snu podrapała sobie koniec nosa, co, według niego, jest daleko ważniejszem, niż np. zbadanie w niej prądów elektrycznych. Dzięki podobnym spostrzeżeniom, p. Donato wyjeżdżając z Warszawy, powie o nas:

albo: gawrony! (jeśli jest hypnotyzerem)
albo: trznadle! (jeśli jest kuglarzem).

Całe szczęście, że pozostawi nam na pokonanie go odpowiedzi p. Wolbergowi, w których kumając się z Harveyami i Herszlami jest dostatecznie i bez naszej pomocy śmiesznym.

Pisma nasze wywiesiły znowu na publiczny widok nędzę jednego z nauczycieli gimnazyum lubelskiego, który żyje z 14 rs. miesięcznie emerytury. W tej odezwie do miłosierdzia ogółu przykre są dwie strony: ubóstwo starca, który zużył siły na służbie społecznej i publiczne obnażenie niedoli. Niepodobna uwierzyć, ażeby zebrana tym sposobem jałmużna nie zgnębiła obdarowanego. Radzilibyśmy więc, ażeby tego rodzaju kwesty odbywały się nieco ostrożniej, z większym poszanowaniem godności wspieranych. Co do samego faktu, ujawnienie go przypadło akurat w tę porę, kiedy nasi litościwi panowie ofiarowali wdzięcznej cyrkówce pięknego bułanka wraz z obfitym dla niego dodatkiem na owies. Kto wie, czy między tymi ofiarodawcami nie znajdowali się uczniowie biednego nauczyciela, którzy niedopuszczeni przez niego do drugiej klasy, opuściwszy gimnazyum dla dobra kraju i przewodniczenia narodowi, bardzo słusznie robią, że zapominają o surowych nauczycielach a pamiętają o łaskawych cyrkówkach.

Na wypadek gdyby tym dobroczyńcom cyrkowego zawodu zbrakło pieniędzy do dalszej wspaniałomyślności, donoszę im, że Najwyżej zatwierdzona uchwała Rady Państwa dozwoliła zakładać w Królestwie Polskiem lombardy prywatne. Czy jako fanty będą przyjmowane bułanki, nie wiem; wiem tylko, iż bogata liberya włączona zostanie do zastawów pożyczkowych. Wraz z panami cieszyć się mogą i biedacy, którzy dziś w 40 stają do podzielenia się *jedną kopiejką*, stanowiącą czasem cały zapasowy kapitał obecnego lombardu. Mało nas to obchodzi, czy „góry pobożności,“ które niezawodnie na wzór zagranicy powstaną dość licznie, przytulą do swego łona brylantowe spinki i kaszmirowe fraki; głównie pragniemy, ażeby chustka wyrobnicy lub zbyteczna kapota rzemieślnika wyjednały niezbyt uciążliwą pomoc ich posiadaczom. Strzeżmy tylko, my, którzy tak starannie meldujemy światu o komedyach, posiadających już napisane tytuły, lub tryumfach teatrzyków, ażeby w tych lombardach prywatnych nie wyrosły pomału pijawki lichwiarskie, któreby na podobieństwo dzisiejszych fanciarzów ssały krew ubogą.

Zachodzi kwestya, czy też jaki lombard udzieliłby najskromniejszą pożyczkę na zastaw ogłoszenia p. W. Landau, który zapewnił 10,000 rs. nagrody temu, co wykryje skradzione i odnalezione pieniądze? Wartoby się o tem przekonać wobec hojnego datku, jakim ów bankier obdarzył trzech niewinnie w tym wypadku pokrzywdzonych, z których jeden przesiedział kilka miesięcy w kryminale, dawszy im aż 1,350 rs. Komu ta ofiara wydałaby się za małą, niech pamięta, że na korzyść Szmerka i wspólnie z nim oddawanych p. L. ustąpił całą sumę nieodzyskaną a roztrwonioną przez złodziejów. Jest więc nadzieja, że gdy ci ostatni wrócą z ciężkich robót i dojdą do majątku, Szmerek może wyprocesować od nich jeszcze z tysiąc rubli. Umiemy być hojni — co?

Międzynarodowy spór między polakami i belgijczykami, których kuryery obatożyły pod imieniem niemców, został wreszcie sądownie załatwiony. Przed kilku miesiącami wynikła bójka na Pradze, w której robotnicy belgijscy napadli na polskich i zabili dorożkarza Augusta Hahna. Sąd skazał sprawcę tej śmierci na 3 miesiące więzienia i zapłacenie 1,000 rs., które biedna kobiecina odbierze prawdopodobnie wtedy, gdy Szmerek swój proces wygra. Podsądni zaapelowali, wątpimy jednak, czy Izba Sądowa okaże się łaskawszą dla męztwa p. Branle'a i zalet użytej przez niego broni belgijskiej. A cóżbyś powiedział czytelniku, gdybyś przejeżdżając przez Bruksellę wyczytał w tamtejszych dziennikach taki anons: *Józef Branle*, poleca szan. publiczności wyborne rewolwery; jednym z nich zabity został odrazu dorożkarz w Warszawie.“ Ponieważ zaś w dzisiejszym numerze jest mowa o reformie kodeksu karnego, dopełniam więc ów artykuł nadzieją, że może nowe prawo surowiej sądzić będzie zabójców, niż bluźnierców...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Przyjemną niespodziankę sprawiła nam *Gazeta Lubelska*. Nie przywykliśmy spotykać w organach prowincyonalnych rzeczy miejscowych, wyróżniających się wartością treści i sumiennem opracowaniem. Nie jestto wina redakcyj, skazanych na zbyt trudne warunki bytu, niemniej przeto istnieje fakt. Niespodzianką więc — powtarzamy — stał się szereg artykułów z Janowskiego, drukowanych w *Gazecie Lubelskiej* p. t. „Potrzeby ekonomiczne miejscowe“ a wnikających w sam rdzeń danych stosunków. Skorzystamy też chętnie z materyału zebranego przez autora w odniesieniu do gminnych kas pożyczkowych, który stanowi z wielu względów pouczająca ilustracyę stanu kredytu ludowego.

„W roku 1868 zatwierdzoną została ustawa dla kas pożyczkowych i oszczędności w gminach miejskich. Ustawa ta w r. 1870 była dopełnioną i dotąd jest obowiązującą — zawsze jednak jako tymczasowa, gdyż ułożenie ustawy normalnej odłożone zostało do czasu, gdy będzie możność wszechstronnego ocenienia rezultatów działalności tych kas. Obecnie po upływie lat 12-tu rezultaty te już są widoczne. Kasy gminne pożyczkowe, wprowadzone od 1869 roku z godną uznania gorliwością, znajdują się już prawie przy każdej gminie, czyli jest ich w kraju 1,200. W dniu 1 (13) stycznia 1880 roku wiadomy kapitał obrotowy w jednej gubernii lubelskiej 137-iu kas rs. 312,616 kazałby przypuszczać wysokość jego w całym kraju około trzech milionów rubli. Obrót ten powstał ze skromnych subwencyi rs. 62,640 w r. 1869, oraz rs. 103,920 w r. 1870 przez Komitet Urządzający od funduszów użyteczności ogólnej udzielonych, dowodzi więc wielkiej użyteczności instytucyi kas gminnych, lecz wcale nie dowodzi, żeby miał być wystarczającym dla potrzeb ludności wiejskiej. Ze sprawozdania np. o kasach gminnych janowskiego powiatu okazuje się, że w dniu 1 stycznia r. b. stan gotowizny w 13 kasach wynosił rs. 1,919, co na jedną daje w przecięciu 140 i jeszcze na to przeciecie wpływa kasa Urzędów, która sama jedna miała remanentu rubli 971, gdy z drugiej strony była kasa, mająca gotowizną rs. 3, a nawet taka, która gotowizny tylko rs. 1 kop. 79 naliczyła. a na ten remanent i przyszłe wpływy jest w każdej kasie zapisanych kilkunastu, lub kilkudziesięciu potrzebujących, którzy kilka miesięcy zwykle cierpliwymi być muszą: zawsze więc większość potrzeb pożyczek zaspakajaną bywa na drodze lichwy.“

Przyczyny tych niedostatków słusznie upatruje autor artykułu w jednostronności kas gminnych dzisiejszych. Są one tylko kasami pożyczki, dla których fundusz zależny jest od przypadku, a zaniedbują zupełnie drugą stronę swego naturalnego zadania, t. j. nie przyjmują wkładek oszczędności, co powinno być koniecznem uzupełnieniem programu. Oszczędności posiadają drobni robotnicy w znacznej liczbie i utrzymują je w skrzyni; kapitały zaś większych rachunków składane są poważnemi sumami na 2% (lubelska filia Banku Polskiego posiada takich wkładów przeszło 200,000 rs). Chodziłoby więc o to, aby do kas gminnych pożyczkowych skierować zarówno drobne oszczędności, jak większe sumy, lokowane obecnie gdzieindziej, a tym sposobem stworzyć tymże kasom siły do pokrycia potrzeb miejscowego kredytu. Że się tak nie dzieje, autor widzi przyczynę tego w ułomności kwalifikacyjnej zarządów kas i samych kasyerów, którzy często pisać nie umieją, a przeto radzi wybierać do tych funkcyj ludzi wykształceńszych i materyalnie odpowiedzialnych. Zupełna zgoda. Jednakże to nie wyczerpuje przyczyn ułomnego stanu. Sam autor zauważa bardzo trafnie, że: „oszczędności zaczniejszych rolników dlatego do kas miejscowych nie nawracają, że oni od operacyi pożyczek są prawie wyłączeni przez oznaczone ustawą maximum ziemi i pożyczek. Maximum to już w poprawce ustawy w r. 1876 było powiększone. Gdyby więc, w tym samym duchu idąc, było ono jeszcze powiększone lub całkiem uznaniu zarządu pozostawione, jak to ma miejsce przy wysokości przyjmowanych wkładów; gdyby tym sposobem kasy były dla wszelkich majątków i dla wszelkich stanów, tak jak dla wszystkich jest jedna gmina i jeden jej zarząd; gdyby dalej ustawa kwalifikacye na kasyera i członków zarządu w tym duchu stanowiła, aby nimi mogli być tylko ludzie odpowiedzialni i na zaufanie ze wszech miar zasługujący; gdyby wreszcie skromne kasy gminne przemianowane były na banki wiejskie, jak to było pierwotną myślą Komitetu Urządzającego w roku 1866, to by wtedy kasy te, zostając pod kierunkiem i solidarną odpowiedzialnością ludzi znanych większym bankom jako dobre firmy, mogły sobie wyrobić tyle zaufania, że banki bogate przysyłałyby wiejskim swą zbywającą nieraz w znacznych sumach gotowiznę, znajdując w nich pewność i nic niekosztujące filie i agentury. Wtedy także i prywatne oszczędności z zaufaniem zwróciłyby się do depozytów banków wiejskich, które płacą 6%, gdy tamte tylko 2%, — wtedy by więc w tych bankach wiejskich zapanowała obfitość gotowizny, któraby potrzeby rolników zaspokoić mogła i wyrwała ich z rąk lichwy, która dotąd szczególnie dla drobnych jest niszczącą plagą.“

Piękne to są... pragnienia. Ponieważ jednak urzeczywistnienie ich leży całkiem po za sferą naszej możności, ponieważ tylko drogą prawodawczą cele tu wskazane osiągnąć by się dały, zatem pozostaje nam jak zwykle — czekać. Sądzimy przecież, że zanim na miejsce dzisiejszej tymczasowości wejdzie stała normalna ustawa banków wiejskich, możeby się dało doprowadzić do tego, aby zebrania gminne osobnemi *ad hoc* uchwałami podejmowały inicyatywę i orędownictwo u władz odpowiednich o dozwalanie pojedyńczym kołom, które się w należytych znajdują warunkach, do reformowania się w duchu powyżej wskazanym.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 6 lipca.

I znowu zamach — tymczasem na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych. W marcu dopiero bieżącego roku zainstalował się

James Garfield w „Białym Domu“ w Waszyngtonie, jako pierwszy urzędnik potężnej republiki, a już w dniu 2 lipca kula mordercy rzuciła go na łoże, z którego może już nie wstanie. Z licznego szeregu telegramów, zestawiamy następujący treściwy opis samej katastrofy: Dnia 2 b. m. rano o godzinie 9 Garfield wyjechał z domu powozem na dworzec kolei żelaznej nowojorskiej. W towarzystwie prezydenta znajdowało się kilku ministrów; sekretarz stanu Blaine siedział z Garfieldem w powozie. Gdy przyjeżdżali ku dworcowi, po drodze jakiś wykwintnie ubrany człowiek zaczął ich pilnie obserwować, nie wzbudził jednak w prezydencie lub jego towarzyszu żadnego podejrzenia. Gdy przybyli na dworzec, wkrótce po wyjściu z powozu nieznajomy, który obserwował Garfielda w drodze, wystrzelił do niego z rewolweru. „Jestem ranny“ —krzyknął, chwiejąc się, Garfield. Zebrał się tłum publiczności, która mordercę przytrzymała. Kula przebiła ramię i przeniknęła w biodro, zrządziwszy znaczną ranę w okolicy kości pacierzowej. Rannego odwieziono do mieszkania.

Tak się przedstawia sam fakt. Co do jego przyczyn i charakteru, sprawozdania dziennikarskie opierają się — jak dotąd — na danych bardzo niedokładnych. Wiadomo tylko, że sprawca zamachu nazywa się Gumitson a wedle innych Guiteau, że jest pochodzenia francuskiego, z powołania adwokat. Człowiek ten prześladowało od dłuższego czasu prezydenta, domagając się ciągłe posłuchań, których mu odmawiano, i pisał listy, które zostawały bez skutku. Podobno chciał zostać konsulem, a widząc, że prezydent go ignoruje, chwycił się drogi zemsty. Jestto najprawdopodobniejsze wytłómaczenie faktu; co jest prawdą, wykazać może tylko śledztwo sądowe. Stan rannego—wedle ostatnich biuletynów — jest wprawdzie bardzo wątpliwy pod względem wyzdrowienia, ale podobno nastąpiło jakieś polepszenie. Rządy sprawuje w zastępstwie wiceprezydent Arthur, antagonista Garfielda.

Z Sofii donoszą o odkryciu sprzysiężenia, mającego na celu zamach na życie księcia Aleksandra bulgarskiego. Jak się zdaje, wiadomość ta niema zbyt silnej podstawy faktycznej i służyć ma głównie za pobudkę do dalszego nacisku politycznego. Stronnictwo rządowe uznało widać konieczność dolania jeszcze oliwy do swego ogniska, ponieważ wyborydo konstytuanty niezupełnie po myśli księcia wypadły. Mimo wielkiego aparatu agitacyjnego, nie osiągnięto większości $^2/_3$ potrzebnej do uchwały o zawieszeniu konstytucyi. Rząd poradził sobie praktycznie, co prawda, bo tam gdzie wybrano opozycyonistów, nakazał ponowny wybór, ale na wszelki wypadek dobrze mieć jeszcze materyał zapasowy. Tak sądzą bliżej poinformowane dzienniki zagraniczne, a my do sprawdzenia tego poglądu nie mamy potrzebnych danych.

Zdaje się, że Europa nie dość jeszcze ma konferencyj międzynarodowych, bo znowu zaproponowano aż dwie naraz nowe. Jedna w kwestyi tunetańskiej pożądaną jest w parlamencie angielskim; drugą „pasują“ w Bukareszcie dla kwestyi dunajskiej. Prawdopodobnie jednak nie będzie z tej mąki chleba, ponieważ ani Francya ze sprawą tunetańską, ani Austrya z kwestyą Dunaju nie zechciałyby się poddać pod wyroki konferencyi mocarstw. *S. S.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Warszawa wreszcie doczekała się ulepszeń miast wielkich a mianowicie rozpoczęto jej budowę tramwayów od rogatki Mokotowskiej.

Koncesyę na kolej iwangrodzko-dąbrowską otrzymali łącznie pp. Z. Wielopolski, T. Zamojski, A. Ostrowski, S. Karski, W. Rau, spadkobiercy K. Scheiblera, I. Bloch, A. Goldstand, W. Laski.

— Ministerstwo spraw zagranicznych przygotowuje w nowej formie przedstawienie do mocarstw europejskich w przedmiocie ograniczenia prawa schronienia wychodźców politycznych.

— W Petersburgu w Kanale Ekaterynińskim i przy moście Wozniesieńskim czyniono przez kilka dni z rzędu poszukiwania na dnie w celu sprawdzenia, czy nie założono tam min wybuchowych, ale bez rezultatu.

— Ministerstwo komunikacyj kończy projekt ustawy ogólnej kasy emerytalnej dróg żelaznych.

— Trzecia tania kuchnia warszawska ma być otwarta na Pradze dla robotników i urzędników kolei terespolskiej.

Teatr. W teatrze letnim Bellevue, grano w tych dniach po raz 20-ty komedyę p. Świderskiego *Ojcowizna.* W Alhambrze po raz 15-ty jednoaktówkę St. Dobrzańskiego *Złoty cielec.*

— Zwykłe subsydyum teatrów rządowych w Warszawie w ilości rs. 60,000 zostało utrzymane, a wynagrodzenie za straty podczas żałoby w sumie około 40,00 rs. również ma być wkrótce wypłacone.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Z. Korespondencyę Pańską odstąpiliśmy *Nowinom.* Opisy pożarów i t. p. właściwie są dla gazety codziennej. O dostarczanie materyału prosimy.

P. Feliksowi K. w Dąbrowie Górniczej. Wysłaliśmy, należy nam się kop. 50.

P. I. Kiersnowskiemu w Sniaglicy. Wysłaliśmy powtórnie.

D-rowi A. Modz. Mińsku. Jakie zaginione numery?

Pr. w Krakowie. Nie, i w tej formie nigdy.

P. A. I. w Krasnosiółce. Otrzymane.

P. S. Racib. w Radziwiliszkach. Posyłamy arkusz zagubiony— nic się nie należy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Іюня 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.